BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

K. PAŁYS — Przystań Danieluka
Z. BARCHANOWSKA — Bochotnica kontraktuje
Z. NOWICKI — Wiosna w POM-ie
M. INGLOT — Rapsodia walki
CZ. PETELSKI — Pawka Korczagin
T. ORLEWICZ — O rozwój handlu
J. RURAWSKI — Dwie daty historii
S. SKULSKI — Wiersze
W. JAŻDŻYŃSKI — Stałem się jednym z ogniw...
T. PAPIER — Na targowisku ludzkim
L. BARTELSKI — Pisarze w terenie
G. TIMOFIEJEW — Tematyka żołnierska

Rok IX Warszawa, dn. 16 III. 1952 r. Nr 11 (345)

Foto Cz. Swirta

Foto - CAF

Foto WAF

JAN ALEKSANDER KRÓL

„Chłopi", tom: „Wiosna", r. 1952

CHOC mija połowa marca, na polach nie ujrzycie wiosny. Wyprawia tam harce wiatr i śnieg, odwilż i mróz. Krajobraz jeszcze zimowy, jeszcze bez ludzi, bez koni i maszyn...

Ale zamarłe pola zbudzi wkrótce zgiełk bitewny. Stanie on równo z wiosną na naszych polach i rozgorzeje jak kraj długi i szeroki.

W roku decydującym o zwycięstwie Planu 6-letniego nie będzie to zwykła bitwa o chleb. Wskaźniki planu stawiają przed rolnictwem wzrost produkcji globalnej o 8,1 procent (w tym roślinnej o 10,2 proc., zwierzęcej o 5,2 proc.). Plan jest napięty i trudny. Bo cóż się wyraża w tych suchych liczbach wzrostu na rok bieżący? Właśnie *bitwa*, wydana *nadmiernemu* pozostawaniu rolnictwa w tyle za tempem rozwoju przemysłu. I właśnie wiosenny siew zacznie już *podciągać na wyższy poziom* dotąd *nadmiernie* niskie wyniki produkcji rolnej.

Bo... *„jeśli przemysł i rolnictwo nie stanowią w ten sposób jednolitej całości narodowo-gospodarczej — to żaden socjalizm z tego nie wyniknie"* [1]).

✣

Tam gdzie są POM-y, PGR-y i spółdzielnie produkcyjne, tam na polach wojować będą pionierzy nowego systemu gospodarki rolnej, tam wszędzie w niemałym promieniu podnosić będą masy chłopstwa pracującego, „ich aktywność, świadomość i solidarność z klasą robotniczą".

„Musicie pamiętać — mówił prezydent Bierut na krajowej naradzie aktywu POM — że chłopi pracujący nie według słów, lecz według wyników praktycznych oceniają Waszą pracę. *Jakość* Waszej pracy, plony jakie daje ziemia uprawiana przez POM, siła Waszego oddziaływania na spółdzielców i chłopów indywidualnych — oto co decyduje — i słusznie — o ocenie Waszej działalności".

Powtórzyć moglibyśmy te słowa pod adresem PGR-ów i zespołów spółdzielczych, a dalej?... Dalej, kiedy otoczy nas trzy z górą miliony drobnych gospodarstw chłopskich? Gospodarstw, które stosują na ogół zacofane metody uprawy swych gruntów?

A to wpływa na niską wydajność plonów w rolnictwie, to właśnie stanowi podstawową przyczynę słabego i niskiego tempa rozwoju całego rolnictwa...

✣

Jesienią i zimą, kiedy gazety ogłaszały, idące w tysiące, nazwiska odznaczonych krzyżami i dyplomami chłopów, większość zapewne czytelników związała te odznaczenia z akcją skupu i wypełnieniem obowiązków wobec państwa. Prawie każdy obywatel mógłby na pamięć recytować: zboże, kartofle, podatki. A przodujący chłopi to ci, co dali ponad plan lub przed terminem, lub pobudzili do współzawodnictwa gromadę i gminę, albo też potrafili jednocześnie osiągnąć wszystko to razem.

Owszem, tak się miały rzeczy. Ale jedna strona zagadnienia zawiera *potencjalnie* drugą. Wówczas, jesienią — powiedzmy to krytycznie — za słabo wydobyto w portretach odznaczonych chłopów ten drugi, *produkcyjny* profil.

Chłopi wypełnili obowiązek wobec państwa. Jaki i wobec jakiego państwa? Był to obowiązek zbytu swych płodów i wywiązania się z należności finansowych. Kiedy dziś przypominają się nam te wspaniałe komunikaty o powiatach, których dziennie kilka, kilkanaście dosięgało 100 proc. planu nie zapominajmy, że wówczas w tym współzawodnictwie milionów — i dla opóźnionych gromad, gmin i powiatów — coraz wyraźniejszą stawała się przewodnia idea: znaleźć się wreszcie po stronie patriotów, nie oderwać się od narodu — który dziś omawia i formułuje *„Konstytucję budowy socjalizmu"*.

Wziąć również udział w toczącym się wielkim boju o rozbicie jednego z najbardziej ponurych przeżytków kapitalizmu i w *psychice* zacofanej części chłopstwa.

Mało i średniorolny chłop, w przeciwieństwie do kułaka, jeszcze w samej produkcji, jeszcze na polu nie wrastał w tradycję kapitalistycznej chęci zysku i wyzysku. Ale gdy przychodziło do zbytu płodów, wówczas ta sama, co u bogacza, trzęsła nim *dusza handlarska*.

A przecież społeczeństwo socjalistyczne to *produkcyjno-konsumpcyjne zrzeszenie* pracowników przemysłu i rolnictwa.

„Jeżeli w tym zrzeszeniu przemysł nie jest powiązany z rolnictwem, które daje surowiec i żywność i pochłania wyroby przemysłu, jeśli przemysł i rolnictwo nie stanowią w ten sposób jednolitej całości narodowo-gospodarczej — to żaden socjalizm z tego nie wyniknie".

Jesienna akcja skupu mobilizowała masy chłopskie do sprzedaży towarowej produkcji na *rynek państwowy*. Terminy i wielkość tego zbytu, określona planem, stwarzały podstawowe dla rozwoju socjalizmu powiązanie rolnictwa z przemysłem, chłopstwa pracującego z klasą robotniczą. Była więc ta akcja wielką lekcją przybliżenia wsi do „produkcyjno-konsumpcyjnego zrzeszenia pracowników przemysłu i rolnictwa".

Tak ją też zrozumiała większość chłopstwa.

✣

Przypominam sobie, jakiego to klina zabił nam list Michała Klimczaka ze wsi Iłowa (pow. Żagań). Nadszedł do redakcji w połowie grudnia. Wzmogła się wówczas akcja kontraktacji trzody chlewnej. Odnotowywaliśmy takich działaczy, którzy potrafili sami przekonać i zakontraktować tuczniki u 40, 60 chłopów. Był to zryw, nadrabiający zaległości w agitacji i umowach. W jesiennej bowiem akcji skupu sprawa zbytu przesłoniła sprawę *produkcji*, sprawę jutra. A list Klimczaka podejmował zagadnienie produkcji i jutra w sposób nowy i zasadniczy. Kimże jest sam Klimczak? Ma już 56 lat. Urodził się w rodzinie wiejskiego krawca. Od 9 roku życia poszedł na służbę. Był w pierwszej wojnie światowej na froncie rosyjskim, włoskim i serbskim. Po powrocie z niewoli został... fornalem. W latach 27—34 przebywał na robotach we Francji. W okresie okupacji wywieziono go do Kamieniołomów w Gross Rosen, a potem do Mauthausen. Wrócił w czerwcu 1946 r. i w Iłowej otrzymał 4 ha ziemi. Jest to chłop-przodownik i działacz, choć do szkoły nie chodził, „bo i skąd".

Czytaliśmy jego list w okresie, kiedy w dyskusjach redakcyjnych wyciągaliśmy wnioski i dyrektywy z jesiennej akcji skupu. Pisaliśmy już wówczas o tym, że „jest to okres egzaminu dla kadr terenowych, okres wyrastania nowych i oczyszczania się starych. Dzieje się to nie tylko na oczach gromad, dzieje się to za ich sprawą i z rezerw ich nie wyzyskanych dotąd mądrych, uczciwych i ofiarnych ludzi... Wielka w tej akcji praca aktywu i mas chłopskich coraz bardziej zdolnymi czyni chłopów do rządzenia... coraz większą dysponuje ilością nowych kandydatów, którzy przez swój patriotyzm socjalistyczny zasługują na reprezentowanie mas i kierowanie nimi. I na nich się oparłszy jeszcze bardziej i jeszcze mocniej spoją się masy chłopskie z władzą ludową i klasą robotniczą. Takie już widać perspektywy tegorocznej akcji skupu, a znajduje się ona jeszcze w pełnym toku" [2]).

Jakże więc w liście Klimczaka musiał nas zastanowić i zadziwić taki wywód:

„Pracować dobrze w gromadzie, gminie i powiecie, wywiązać się ze wszystkich obowiązków, nie jest dziś w Polsce Ludowej żadną sztuką, ale trzeba pracować *stale, wytrwale, systematycznie, z planem i myśleć nie tylko o dziś ale i o jutrze!"*

Mądrze to było napisane, czujnie, socjalistycznie. Bo cóż wyrozumował Klimczak z dzisiaj na jutro? Jak pojął planowy skup? Jaki wyciągnął wniosek? Wyplenić do końca z chłopskiej psychiki handlarską duszę! „Mam ci ja taki projekt do kontraktacji trzody..." tak się zaczynała ostatnia i główna część jego listu.

„Powinna być na to taka ustawa, jak jest na zboże czy na kartofle, żeby kontraktacja *była obowiązkiem każdego rolnika* — masz mniej hektarów, np. do 2 ha, kontraktuj co najmniej sztukę, masz więcej ziemi, kontraktuj więcej a nie tak, jak dzisiaj jest, że *jak mi się podoba to kontraktuję*, a jak mi się nie podoba to nie kontraktuję. Zaraz by było mniej tych *handlarzy* mięsem. Bo przecież tu chodzi o *wielką i ważną* sprawę *dla całego narodu"*.

Tak napisał Klimczak, ale tak myślało już jesienią wielu chłopów, toczyły się na ten temat spontaniczne dyskusje po gromadach.

Trzymaliśmy w ręku list Klimczaka i myśleliśmy: oto chłopska inicjatywa, oto nowa kultura, obdarzająca chłopa twórczą, coraz bardziej rozwijającą się zdolnością „wnikania w sprawy rządzenia krajem". Oto projekt przybliżenia wsi „do produkcyjno-konsumpcyjnego zrzeszenia pracowników przemysłu i rolnictwa".

Ale ustawy państwowej jeszcze wówczas nie było. W rezultacie postępując, jak ten, „co chce i boi się", list Klimczaka zamieściliśmy dopiero w 2 numerze noworocznym, w kolumnie chłopskich wypowiedzi: *„Wstępujemy w rok trzeci — rok przełomu!"*

✣

A nagrodzeni i odznaczeni w jesiennej akcji byli również tymi, którzy już wówczas mocno wstępowali w rok trzeci — *rok przełomu*. I już wówczas należało się przyjrzeć ich *profilowi produkcyjnemu*. Bo co tu dużo gadać — kto dał ponad plan i przed terminem, kto mobilizował innych? Chłop mało i średniorolny — *dobry gospodarz!*

Na zjazdach powiatowych, w gminie i na gromadzie dobrze zrozumiano logiczny związek; ten pierwszy „w odstawie", kto pierwszy w produkcji! Odznaczenia posypały się jesienią ub. roku, ale wyróżniły chłopów za kilkuletnią drogę ich rozwoju społecznego i gospodarczego.

Popatrzmy na ten olbrzymi, sięgający setek tysięcy, oddolny aktyw, który ukazał nam się jesienią; o nim to pisał Aleksander Juszkiewicz — że „często wyrastał o własnych siłach a w ostatnich miesiącach pnie się w górę, *jako świeża, rewolucyjna kadra przemian społecznych na wsi"*. Jest to kadra *świeża* nie tylko w znaczeniu — *nowa*. Świeża znaczy tu — *gotowa do rewolucyjnych przemian* na nowym, obecnym, *decydującym* o zwycięstwie Planu 6-letniego etapie.

Kiedy J. Palak, jeden z tych odznaczonych, napisał do nas, że *„na rok 1952 zobowiązuję się wyprodukować o 15 proc. więcej niż w roku zeszłym i odstawić już w pierwszym kwartale 52 r. tysiąc kg żywca"* — podał szerokie uzasadnienie tej decyzji. Zaczynał od kozy... na wielkim szmacie ziemi (11 ha)), jakim go nowa Polska obdarowała na Ziemiach Odzyskanych. Teraz ma 2 konie, 7 krów, 20 świń.

Jak do tego doszedł? Dlaczego podejmuje nowe zobowiązania? Pole ma bardzo górzyste. Potrzebuje ono soli potasowej i wapna nawozowego. Nauczył się tego z gazet, książek rolniczych i radia. W pracach polnych pilnuje terminów. Niedopilnowanie terminów „to 35 procent upadku całego gospodarstwa". Świnie trzyma latem na koniczynie, dopiero przy tuczeniu daje kartofle i śrutę. Sadzi kartofle na oborniku, po kartoflach sieje owies, po owsie żyto, albo po owsie zaoruje głęboko na zimę pod jęczmień jary, pszenicę, mieszankę kłosową (na paszę), buraki pastewne, cukrowe, len, rzepak jary i gorczycę. „Nie marnuję ani jednej minuty na próżno, bo wiem, dla kogo pracuję w Polsce Ludowej".

Oto inny list. K. Muszarski ma 5 ha, w tym 1 ha łąki i pół ha pastwiska. W obejściu 1 koń, 4 sztuki bydła, 7 tuczników, 2 owce i 40 kur. Kładzie nacisk na hodowlę, ale dlatego dba o bazę paszową. Łąkę nawozi kompostem, popiołem drzewnym i mimo słabej gleby osiąga wysokie zbiory siana. Podobnie ze zbożem. Z lichej roli, tam gdzie sąsiedzi otrzymują 8—10 q, on — 16 q. „Osiągając większe plony mogę się wywiązać ze skupu zboża ponad plan". Osiąga je przez wczesne podorywki, głęboką i wczesną orkę, siew rzędowy, po główne nawożenie ozimin, bronowanie ozimin itp. „Ale — moim zdaniem — lepiej by było przejść z gospodarki drobnej na zespołową, wtedy my chłopi będziemy mieć jeszcze większe osiągnięcia i w zupełności zaspokoimy potrzeby świata pracy".

3-hektarowy Z. Płuta. „Gdy przyszło do skupu, to zamiast 100 kg zboża, mogłem oddać 200 kg, zamiast 500 kg ziemniaków — 700 kg, a tuczników 4 o łącznej wadze 1000 kg". Dlaczego mógł? Stosuje się do zarządzeń władz rolniczych oraz do wskazówek instruktora rolnego, zwłaszcza co do płodozmianu, orki, użycia nawozów itp., otacza go ożywione życie gospodarczo-organizacyjne gromady. Wieś przed terminem w skupie zboża osiągnęła 104 proc., w ziemniakach 115 proc., a w kontraktacji na I kwartał 52 r. 105 proc. planu.

Fr. Hajda był do r. 48 analfabetą. Posiada 1 ha i 80 a. ziemi piaszczystej. Ma krowę i jałówkę, przychował dwa barany i 3 świnie, 2 zakontraktował. Po zebraniu plonów sieje paszę zieloną dla bydła; gospodarki uczył się od własnych [illegible] które w przysposobieniu rolniczym prowadziły poletka doświadczalne. „Dużo przykładów biorę od 2 lat z Chłopskiej Drogi i Gromady". Dwie córki zamężne, zięciowie pracują w fabrykach, najmłodsza zakładała na wsi ZWM, potem po kursach wyszła na instruktorkę. „Jesteśmy, cała rodzina, szczęśliwi. Pragnę zaś jednego, aby dzieci moje dożyły komunizmu".

Wróćmy raz jeszcze do średniaka. P. Spychała, gdy dostał z reformy ziemię, zlikwidował 4 ha ugorów, „to stało się dźwignią mego gospodarstwa". Teraz na 11 ha ma 2 konie, 6 krów, zakontraktował 20 tuczników. Jakie zbiory? Pszenicy 35 q — z ha, owsa — 32 q, żyta — 30 q. „Dlatego mogłem zamiast 58 q oddać w planowym skupie 123 q.!"

A jak osiągał takie urodzaje? „Przez pracę, a mianowicie: 1) podorywki muszą być wykonane w należytym czasie i trzeba je pielęgnować przez częste bronowanie, nawet dwukrotnie w miesiącu, 2) staranne wykonanie orki przedsiewnej ozimin, co najmniej na 14 dni przed siewem i wałowanie ich bezpośrednio po siewie tego samego dnia wałem pierścieniowym, 3) najlepiej udaje mi się pszenica po ziemniakach, burakach lub koniczynie (ale... na 1 ha — 150 kg supertomasyny, 200 kg soli potasowej, 25 kg azotniaku). Buraki sieję nawoziwszy koniczynę obornikiem i zaorawszy pługiem na zimę z przypłużkiem. 4) Rok rocznie stosuję poplony oraz obsiewam 1 ha koniczyną czerwoną, która daje 10—11 wozów parokonnych dobrego siana, co mi wystarcza dla inwentarza. Kontraktuję 1 ha buraków cukrowych, zbieram 400 q, liście składam w silos, a cukrownia dostarcza mi wysłodków, ot i pasza treściwa dla mojej świniarni... Dla chłopa, który posiada jedną duszę i oddany jest szczerze państwu ludowemu plany państwowe łatwe są do wykonania. Ciężkie tylko dla tych, co mają dwie dusze".

✣

Być może, że zanudziłem niektórych czytelników. Szczególnie tych, którzy mając do wyboru, woleliby już szczegółową analizę „kupieckiej księgi" Robinsona. Bo to... historia, inny kraj i literatura — nie zaś — rzeczywistość współczesna naszego narodu.

Ale wróćmy do rzeczy. W tym żmudnie ułożonym rejestrze kilku profilów produkcyjnych wyczytać można pasjonujący bieg nowego życia na wsi. Mistrzami w rolnictwie bywali dawniej kułacy. Ich jednak wynalazki i postępy nie dawały się upowszechnić. Na tym polegała klasowa rola tego „postępu". On to jeszcze pogłębiał rozwarstwienie w gromadzie. Dobrze zadawała sobie sprawę biedota z tego, że nie dla psa kiełbasa. Postęp i wynalazki bogaczy wyrastały z potu i łez wyzyskiwanych. O tym też pamiętają chłopi. Ale od kilku lat w toku rewolucji, reform, budownictwa i przemian, w toku pogłębiającej się walki klasowej na wsi z wyzyskiem, oszustwem, szkodnictwem i dywersją polityczną kułaka i jego klienteli przesuwa się coraz szybciej i powszechniej postęp rolniczy w milionowe szeregi mało i średniorolnych. Jednym ze źródeł tego gwałtownego i burzliwego procesu jest teraz możliwość korzystania z postępu *przez wszystkich*, jest teraz jego *moralna czystość*. Dlatego postęp, nasz, socjalistyczny, nie dzieli ludzi *a łączy*, tak on się posuwa i rozwija i tam właśnie, gdzie nie tradycyjnie sąsiedzki tylko przykład działa, ale zorganizowana gromada z kolektywem działaczy-specjalistów.

Po tośmy właśnie (po pierwsze) ukazali szczegółowo gospodarski profil w portretach odznaczonych chłopów.

W nich tkwi olbrzymia *rezerwa kadrowa*. Ją trzeba uruchomić do bitwy, wydanej nadmiernemu pozostawaniu rolnictwa w tyle za tempem rozwoju przemysłu.

Tu już nie o gadanie będzie szło, *ale o wiedzę, radę, decyzję i organizację siewów*, a potem następnych prac.

Po tośmy — po wtóre — ukazali szczegółowo sposoby, przy jakich pomocy gromadzcy działacze wyrastali równocześnie na mistrzów urodzaju, aby można było zestawić te dwie wielkie rezerwy: *chłopskich kadr z rezerwami w samym rolnictwie i jego produkcji*. Aby zmierzyć w jakim stopniu ta ludzka kadra mogłaby się przysłużyć masom chłopskim do wykorzystania rezerw, tkwiących w samej produkcji rolnej.

Oto już przejście do siewu rzędowego (a którego jeszcze 30—40 proc. chłopów mało i średniorolnych nie stosuje) podniosło by zbiory czterech zbóż chlebowych o blisko 2 mil. ton. Masowe stosowanie wysokokwalifikowanych sadzeniaków — zbiory ziemniaków — o 5 mil. ton, zdecydowana walka z chwastami — o 800 tys. ton ziarna, opanowanie plagi szkodników buraczanych — cukru o 20 mil. kg. więcej.

A jeszcze są odłogi. A jeszcze nie upowszechniły się przedplony, międzyplony i poplony (dwa a nawet trzy zbiory z tego samego pola!). A jeszcze nie dość energicznie są zwalczane epidemie i choroby bydła, trzody, drobiu. A jeszcze nie przestrzegane dostatecznie terminy orki, siewu, pielęgnacji i sprzętu roślin. Jeszcze wadliwie stosowany obornik i nawozy sztuczne. Przecież nawozów mamy dziś 2,5 razy więcej niż przed wojną, a gdzie proporcjonalna zwyżka plonów? Jeszcze nie docenia się roślin pastewnych (nie uprawia ich wcale 30—40 proc. drobno i średniorolnych) jeszcze zaniedbuje się łąki i pastwiska.

Są więc rezerwy i są kadry rolnicze, świeży rewolucyjny aktyw. Należy uczynić teraz wszystko, aby równo z wiosną na naszych polach rozgorzała zwycięska bitwa — jak kraj nasz długi i szeroki.

Jan Aleksander Król

---

1) J. Stalin, Dzieła t. VII. str. 202.
2) „Jesienna ofensywa" „Wieś" nr 46 z 18 listopada 1951 r

KRYSTYNA PAŁYS

PRZYSTAŃ DANIELUKA

Chłop patrzył na przysypane z rzadka pierwszym śniegiem pola i nie czuł nawet, że buty oblepia mu coraz grubszą warstwą tomaszowska ziemia, tak był zajęty szacowaniem „na oko" wschodzącego zboża.

— Nie tak źle, jak to niektórzy zapowiadali. Późne, jesienne deszcze zrobiły swoje. Ale, wszystko jedno, mają szczęście w tej Łazowej. Żyto u nich najgęstsze w całej okolicy.

Tak przemawiał do mnie Teodor Rudko na połowie drogi między wsią a spółdzielnią produkcyjną w Łazowej.

Rudko zachodzi często do spółdzielni, bo gospodarować samemu na granicy powiatu tomaszowskiego rzecz niełatwa. Wsie poniszczone w czasie wojny, a potem spalone przez faszystowskie bandy UPA i ludzi w nich jeszcze niewiele. Ratują Rudkę w potrzebie spółdzielcy z Łazowej, pożyczają maszyny, a kiedy nie było w czym przewieźć zboża, nawet worków nie odmówili.

Przed nami boklem biegł niewielki sosnowy las, a tuż za nim ukazywały się zbite w gromadkę spółdzielcze domki. Zza pagórka przedzierał się poprzez świst wiatru warkot motoru.

— Młócą przy stertach — objaśniał Rudko. Odstawili już 140 ton ziarna, bo tyle mieli w planie.

Rozstaliśmy się. Chłop poszedł do biura, a ja pod sterty. Ruch był tam wielki. Z gardzieli szerokomłotnej maszyny sypała się bez przerwy słoma. Na szczycie sporego stogu zwijał się Józef Danieluk, najstarszy członek spółdzielni, nazywany w Łazowej „dziadkiem", choć chłop jeszcze chwacki i w robocie prędki.

— Wolniej, dziadku, wolniej, bo w południe wyjecie wszystko z garnków i nic nie zostanie dla waszej kobiety — żartowała któraś z dziewcząt.

— Mam tyle, że i dla was by starczyło — odcinał się stary i obciągał na uszy watowaną czapkę.

✻

I Rudko i inni pamiętają dobrze jak dwa lata temu przyjechał Danieluk do spółdzielni w Łazowej. Była na nim tylko skóra i kości, ubranie w strzępach i dziurawe buty gumowe. Tak się dorobił u bogaczki wiejskiej w Dąbrówce koło Dębicy, do której wstąpił na służbę jeszcze w r. 1943 we Francji.

Wygnała go z kraju i odtrąciła od pługa w rodzinnej wiosce Drozdowie, nędza i głód, a że zapotrzebowania w roku 1926 były we Francji tylko do kopalń rudy żelaznej, Danieluk przez półtora roku pracował na dnie takiej kopalni w Nord niedaleko Calais. Wyszedł stamtąd cało, chociaż bryła przygniotła mu dłoń. Dostał się potem do fabryki papieru, a później do fabryki gumy pod Paryżem. Przed drugą wojną światową wyrzucili Danieluka na bruk jak innych Polaków. Żył kilka miesięcy jak tułacz pozbawiony opieki, ale gdy trzeba było ludzi do obrony interesów kapitalistycznej Francji, znalazł się jako artylerzysta w armii generała Sikorskiego i bił się z wojskami hitlerowskimi nad Sekwaną. Po „błyskawicznej" wojnie Danieluk udał się na południe i w okolicy Bordeaux pracował w winnicach, a potem przy innych robotach rolnych. Tutaj spotkała go Tekla Ćwik, również emigrantka, tylko że nie robotnica jak on, a kombinatorka i spekulantka. Dzierżawiła ona od Francuza gospodarstwo i woziła do Paryża żywność na sprzedaż po lichwiarskich cenach. Zarabiała na takim handlu krocie, a Danieluk za grosze pracował u niej na roli i w oborze. W roku 1948 gospodyni namyśliła się wracać do kraju. Przywiozła ze sobą parobka Danieluka i trzy wagony wszelkiego dobra. Dopiero w Dąbrówce pod Dębicą przekonał się Danieluk, że niewola u kułaczki na obczyźnie, czy w kraju jest jednakowa. Gospodyni na 16 morgach zamykała przed nim jadło, a płacić za pracę też nie chciała. Poszedł wreszcie na posterunek milicji.

— Albo dajcie pracę u uczciwych ludzi, albo zamknijcie do więzienia, dłużej u Tekli Ćwik nie wytrzymam.

W taki to sposób znalazł się wieloletni tułacz w spółdzielni produkcyjnej w Łazowej, wynędzniały i obdarty.

— Wyciskali z człowieka siódme poty, tak że choć byłem na służbie dwadzieścia trzy lata — wyrobiłem za czterdzieści.

W Łazowej, gdy przyszedł do siebie, okazało się, że ten tułacz jest wielkim zwolennikiem życia rodzinnego. Dotychczas żył na świecie sam jak palec, w spółdzielni mógł założyć własne ognisko.

— Ano trzeba naszego dziadka ożenić — zapadła decyzja w Łazowej na jednej z narad wieczornych. Nie była to łatwa sprawa. Okoliczne wioski poniszczone i z rzadka zamieszkałe, dziewczynę jeszcze by w nich znalazł, ale odpowiedniej wiekiem kobiety dla pięćdziesięcioletniego, nikt nie znał.

Znaleźli w końcu i pojechali zimą w swaty. Niewesołe to były swaty. W samotnej chałupie w szczerym polu mieszkały dwie siostry. Na szybach szron na trzy palce.

Dziś Danieluk bije dwa tuczniki na rok dla siebie i żony, która ma nowe buty i dostatnie palto.

Przechwala się Danieluk, że żonę ubrał lepiej od swojej dawnej gospodyni w Dąbrówce. Krzywda wyrządzona mu nie uszła kułaczce płazem. Zarząd spółdzielni prawną drogą zmusił ją do zapłaty dziadkowi za pracę.

Kiedy Danieluk otrzymał te pieniądze, w biurze spółdzielni nie zamykały się drzwi. Wyszło wtedy na jaw, że w Łazowej wielu było takich, którzy mieli poza sobą służbę u kułaka. Stanisławowi Sobczykowi (temu, co to teraz stawia dla siebie jednorodzinny domek) musiał ksiądz, dawny chlebodawca zapłacić 800 złotych. Młoda dziewczyna, Julia Szybówna dostała od kułaka z powiatu zamojskiego 600 złotych, a inni czekają jeszcze na zakończenie obrachunków ze swoimi wyzyskiwaczami.

✻

Trzeba przyznać, że umie ta biedota gospodarować i ułożyć sobie życie. Patrzą na ich gospodarkę chłopi z Kniaziów, Brzezin, Zatyla, Huty, Rudek i Chlewic. W trzech latach stanęły w Łazowej budynki gospodarskie.

Gospodarz z Breniaszówki Adolf Rogala przychodził do Łazowej na robotę, patrzył na życie spółdzielców, widział jak kupują krowy i świnie, po dwa ubrania i to w najlepszym gatunku — więc wymiarkował, że o swoich siłach nigdy do takiego dobrobytu nie dojdzie. Wstąpił do spółdzielni. Trochę kpiarz z tego Rogali. Gdy go w Bełżcu, albo w Tomaszowie przyłapią kułacy i pytają jak mu się wiedzie — to mówi, że **żałuje...**

— A mówiliśmy, nie trzeba było się śpieszyć.

— Powolušku, powolušku, jeszcze wam nie dopowiedziałem czego żałuję: tego że nie poszedłem do tej spółdzielni wcześniej — kończy Rogala z szelmowskim błyskiem w oczach.

Edward Dmiterek z Narola robił w Łazowej przy budowie chlewów i stajen. Przyjrzał się tutejszemu życiu i przyszedł do spółdzielni. Rozmawia on z kułakami inaczej.

— Pytacie, co słychać? Ano ogarnęliśmy Władka Piosia.

— Jakiego znów Piosia?

— A tego, którego Zarząd Wojewódzki ZMP z Lublina wybawił z poniewierki u kułaka i przysłał do nas. Przyszło chłopaczysko w łatach i bose, pierwszy nasz sprawunek dla niego była bielizna i gumowce. Przyjdźcie teraz i popatrzcie, jak wygląda nasz Pioś.

✻

W spółdzielczych domkach gasną światła jedno za drugim, tylko w stajniach i chlewach błyszczą jeszcze równiutkie rzędy jasnych prostokątów. W Łazowej kładą się do snu wcześnie, gdyż zimą o szóstej rano rozlega się już melodia z głośnika. Kiedy przed szopą zaczynają grać traktory, budzi się mały Tadzio Matysik, najmłodszy spółdzielca z Łazowej.

✻

Przewodniczącego Mieczysława Matysika w pierwszej chwili nie poznałam. Kiedy pierwszy raz odwiedziliśmy Łazową, Matysik był spalony słońcem i wiatrem i nosił sfatygowane ubranie. Dobrze pamiętam jego zabłocone buty gumowe i przyciasną kurtkę z nadprutymi szwami.

Ale wtedy rozmawialiśmy przy młocarni, kryjąc się za stertą przed ostrym wiatrem.

Dziś starannie ogolona twarz Matysika zdradza lekkie podniecenie, ma się odbyć roczne zebranie. W biurze spółdzielni nie można już więcej pomieścić ani jednej osoby. Wszyscy są poważni i wystrojeni jak Matysik.

Przewodniczy młody Witos. Każdy czeka na sprawozdanie w uroczystej ciszy.

Towarzysz Ancygier czyta sprawozdanie spokojnym głosem.

Wykonano: Orki wiosennej na 130 ha, podorywki na 255 ha, orki jesiennej było 200 ha, oziminy zasiano na 185 ha, zlikwidowano 60 ha odłogów.

Zebrano zbóż ozimych 17 kwintali z hektara na przewidzianych 15, gdy gospodarze indywidualni w okolicy mieli wydajność mniejszą od 2 do 4 kwintali. Wymłócono do 19 stycznia 409 ton zboża, z tego sprzedano państwu 220 ton.

W hodowli przekroczono plany. Na zaplanowanych 17 koni jest w spółdzielni 20, zamiast 60 jest 64 krowy, zamiast 50 świń jest w chlewie 62 a ponad plan zakupiono 20 owiec jednej rasy. Na pierwsze półrocze zakontraktowano 41 tuczników.

Foto - CAF

— Nieźle, pomyślałem — ale Ancygier nie przestawał czytać, a doszedł teraz do najbardziej interesującego miejsca.

Spółdzielcy w Łazowej sami zbudowali sposobem gospodarczym wielką, murowaną chlewnię i postawili ją lepiej od obory, którą w poprzednim roku wybudowało Budowlane Przedsiębiorstwo Powiatowe z Tomaszowa. Potem zbudowali szopę na narzędzia i maszyny, koło niej kuźnię, magazyn i piwnicę, a z zaoszczędzonych materiałów powstał barak - świetlica. Kiedy musieli przerwać siewy z powodu suszy, zabrali się do zwózki materiałów budowlanych na dom administracyjny. Zaoszczędzili na tej budowie 60 tysięcy złotych, a za 30 tysięcy wzięli materiału budowlanego na rok przyszły. 51 członków spółdzielni przepracowało w ciągu roku 14 tysięcy 515 dniówek i każdy zarobił dziennie po przeprowadzeniu podziału po 23 złote 94 grosze, z tym że 6 złotych i 2 grosze włożył w budowę nowych pomieszczeń gospodarskich.

Dyskusja nad sprawozdaniem nie szła z początku gładko. Zabierali pierwsi głos ci, którym wytknięto różne niedociągnięcia. Rozżalona Marysia Rakowa, aż się zarumieniła. Prawda, że świnie nie zawsze były karmione jak należy, ale ogólne zebranie zadowoliło się wytknięciem braków. A jakże rzadko radzono jej, jak i co ma robić.

Magazynier czuł się dotknięty zarzutem w sprawozdaniu. Nie troszczy się o sprzęt? Członkowie nie dbali o wydawane widły i łopaty lub postronki, często rzucali je pod szopą i mówili: Niech się magazynier o to martwi. Trzeba było za każdym chodzić, aby odebrać sprzęt.

Traktorzyści z POM-u orali płyciej niż było potrzeba, bo chcieli więcej wyrobić, a w wyznaczonych mieszkaniach nie utrzymywali porządku.

— Było tak, było, ale już nie będzie.

Szwajcar Szczepan Obrzęcki, który wykazał 423 dniówki, tak wyraził swój pogląd na sytuację spółdzielni:

— Co tu rozwodzić się. Każdy z nas wie, że kułacy z początku pokpiwali z naszej gospodarki. Przyszliśmy na te odłogi w jednych butach i to podartych, a dziś oni milczą i tylko przypatrują się, jak się ubieramy i co robimy. Przed rokiem nie jeden z nas marzył o rowerze, dziś zaczynamy myśleć o motorach. Jedzenia każdy z nas ma w bród. Ja trzymam krowę, 3 świnie, 2 owce i 50 kur. Gdzie byłoby mi lepiej, jak w spółdzielni?

Z tyłu ktoś wyliczał, że Rakowie mają razem 700 dniówek, czyli samej gotówki 12 tysięcy złotych.

A kiedy przystępowali do wyborów przewodniczącego, wstała młoda dziewczyna.

— Pewnie, że nie zawsze było jak trzeba, ale Matysik potrafi z każdym dogadać się, razem z nami pracuje i my pójdziemy razem z nim. Niech Matysik przewodniczy dalej.

I Mieczysława Matysika wybrano po raz trzeci przewodniczącym spółdzielni.

Krystyna Pałys

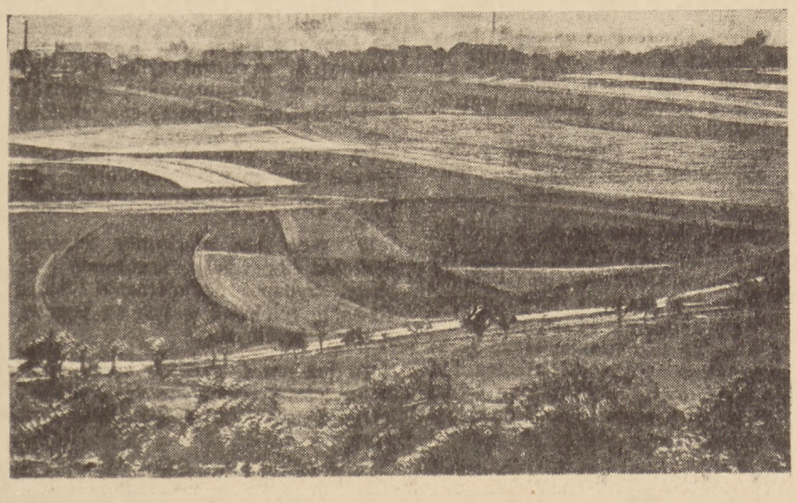

ZOFIA BARCHANOWSKA

BOCHOTNICA KONTRAKTUJE

ZEBRANIE gromadzkie w Bochotnicy w dn. 14 lutego 1951 roku... Najpierw referat pracownika Wydziału Rolnictwa z Puław, potem sołtys odczytał plan kontraktacji. Wreszcie otworzono dyskusję. Chłopi mieli zgłaszać uwagi i deklarować, ile kto zakontraktuje.

Takie rośliny, jak tytoń, rzepak, buraki, ziemniaki, fasola — szybko znalazły amatorów. Kiedy jednak sołtys zapytał, kto chce kontraktować len i konopie — zapanowała cisza. Podniósł się wreszcie stary Wincenty Siwiec. Obtarł dłonią wąsy — jak zawsze, gdy zaczynał mówić.

— Ja tam lnu u siebie nie siałem. Ale przed wojną, gdy pracowałem w majątku w Celejowie, to dziedzic Klementowski miał parę hektarów lnu pod Wierzchowinem, w bok od młyna. Ciężka to robota z lnem. W maju i czerwcu wszystkie kobiety szły do pielenia. Zaczynały od młyna w górkę, ale ledwie doszły do lasku, znowu trzeba było od młyna zaczynać, bo zarosło zielskiem. A już jak przyszło do wyrywania, to nawet służące ze dworu przysyłali. Kto dziś u nas będzie robił, jak młodzi do miasta się rwą, do fabryk, na budowę. A i obróbka przy lnie ciężka. Trzeba dobrze zaorać, zbronować, zwlóczyć. Ja konia nie mam.

— A pomoc sąsiedzka? — rzucił ktoś z sali.

Siwiec jeszcze raz potarł wąsy.

— Od pomocy sąsiedzkiej, to się nie urodzi. W zeszłym roku Józef Król u mnie orał niby z tej pomocy, to skiba ledwo calizną przykrywała. Żyto ledwo, ledwo się urodziło.

Z ławki podniósł się Król.

— Ze lnem to Siwiec ma rację. Idźcie do Wąwolnicy, zapytajcie, czy się komu len udał. Tam już w zeszłym roku kontraktowali. Dowiadywałem się, jak idzie. Baby się narobiły, a jak przyszło do odwożenia, to im Państwo (powiedział to ironicznie, z przekąsem) nie wypłaciło całej sumy i źle sklasyfikowano towar. Choćby mi furę złota obiecywali, nie zakontraktuję.

Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, Stanisław Chojecki, pochylił się do Konstantego Matyjaszka i szepnął:

— Odezwijcie się. Was cenią w gromadzie. Zakontraktujcie pierwszy.

Zaskoczony Matyjaszek machinalnie podniósł się. Ujrzał wlepione w siebie oczy, zmieszał się i usiadł.

Od strony, gdzie siadział Król, gruchnął śmiech.

— Nawet partyjne nie chcą kontraktować.

Sytuacja stawała się coraz cięższa. Sołtys jeszcze raz powtórzył:

— Mamy do zakontraktowania 1,5 hektara lnu i konopi. Kto chciałby wziąć, choćby po pięć arów, niech się zgłasza.

Na sali było cicho. Wreszcie sołtys zwrócił się do siedzącego najbliżej Tomasza Matyjaszka.

— No, wy, Tomasz, pierwszy. Zakontraktujecie?

— Jak każecie, to zakontraktuję. Ale jak nie będzie miał kto przy nim robić, to mi swoją Józkę przyślecie.

Zrozpaczony sołtys powiódł oczyma po siedzących. Zaczarował kto ludzi, czy co? Są przecież partyjniacy, jest Chojecki, Rodzikowa, Szelągowa, Zaręba, Grzegorczyk. Żaden nic nie mówi, a powinni dać przykład gromadzie.

Jeszcze raz zabrał głos przedstawiciel powiatu.

— Wiecie, ja też pochodzę ze wsi. Z Rzeszowskiego. Gdy u nas w 1945 roku pierwszy gospodarz przywiózł nawozy sztuczne i rozsiał na polu, wszyscy się z niego śmiali. Chłop był stary, łysawy, i jak przechodził przez wieś, to niektórzy wołali za nim: „Franek, posyp se proszkiem głowę, to ci włosy urosną!". Mówiono, że od saletry ziemia się wyjałowi i więcej rodzić nie będzie. Tymczasem u niego pszenica bujna nad podziw wyrosła. Jak u sąsiada kłos na palec, to u niego na pięść. I co powiecie? Na drugi rok już czterdziestu siało u siebie nawozy, a na trzeci — wszyscy. Tak samo u was z tym lnem. Nikt jeszcze nie siał, to boicie się zacząć. Król tu mówił, że roszarnia w Trawnikach nie wypłaciła ludziom pieniędzy. To wam powiem, że tym już zainteresowała się Powiatowa Rada Narodowa i Komitet Partii. Okazało się, że rzeczywiście tak było. A dlaczego? Bo wrogowie tam siedzieli, którzy specjalnie chcieli chłopów odstraszyć od kontraktacji. Co im mogło zależeć na lnie, kiedy sami w amerykańskich wełnach chodzili. A nie tylko wrogowie byli w Trawnikach, ale i bumelanci. Buchalter słówek francuskich się uczył w godzinach pracy, a kierownik gruchał z maszynistką. Tak się sprawy miały, ale to się już nie powtórzy. Chciałbym, żebyście zrozumieli, że nawet najmądrzejsze zarządzenie zły człowiek może zepsuć. Bo, powiedzmy, Państwo kazało tym z Trawnik jak najszybciej zakończyć wypłaty. A urzędnik schował instrukcję do biurka i zajął się czym innym. To kogo tu winić, Państwo — czy tego urzędnika?

Słyszałem tu, że dziedzic przed wojną len uprawiał. A dlaczego uprawiał? Bo mu się opłaciło. Bo wiedział, że choć więcej dniówek wypłaci, to mu towar pieniądze zwróci. Prawda, że wtedy praca ludzka prawie za bezcen się liczyła. A wiecie, ile Klementowski zarabiał na niej? To wam powiem. Za siemię lniane płacono po 56 zł, a za słomę po 12 zł. Z dwóch hektarów zebrał 60 kwintali słomy i 10 kwintali nasienia. Miał więc razem 1.280 zł przychodu. Za robociznę zapłacił koło 400 zł. To znaczy, że trzy razy tyle zarobił. A więc kto jedną dniówkę wyrobił, to tak, jakby dla dziedzica jeszcze 3 za darmo przepracował. Ja tutejszą ziemię znam. Wiem, że len dobrze się na niej uda. A dla was dochód będzie i surowiec dla przemysłu. Na małych poletkach, 5 — 10 arów, znowu tyle roboty nie ma, żeby jedna rodzina nie wydołała.

Teraz kilka rąk złożyło się do oklasków, a Rodzikowa poprosiła o głos.

✻

Bochotnica — to duża i stara wieś. Leży przy szosie między Puławami i Kazimierzem. Gleba w niej lessowa. O tę ziemię, o każdy jej skrawek, toczyły się walki między ludźmi i w ludziach w ciągu wielu lat. Ziemia była cenna. Kto jej miał kęs, mógł jeszcze żyć.

W celejowskim dworze, gdzie mieści się dzisiaj prezydium Gminnej Rady Narodowej, przechowana została książka z napisem: „Wykaz pensyi kwartalnej w folwarku Celejów roku 1889". W wykazie dużo nazwisk, których posiadacze — potomkowie tamtych — dziś jeszcze zamieszkują Bochotnicę: Grzegorczyk, Rodzik, Podraszka, Pruchniak, Frąk, Siwiec, Kopik, Seroka, Kubiś i wielu, wielu innych.

Dobra pańskie obejmowały kilka wsi: Celejów, Bochotnicę, Wierzchowin, Klementowice. Płynęła stąd pszenica Wisłą do Warszawy i Gdańska. Kiedy Sienkiewicz pisze „Rodzinę Połanieckich", dziedzice Klementowscy na gruntach folwarku stawiają 3 młyny, które bez przerwy mełły mąkę z grubej, złocistej pszenicy. W 1889 roku w folwarku uprawiano pszenicę, grykę i już **rzepak i buraki cukrowe.**

Ale na polach chłopskich, na takiej samej ziemi, jak dworska, uprawiano wyłącznie żyto i ziemniaki. To było najpotrzebniejsze, aby żyć. Dziedzic Klementowski nawet chętnie sprzedawał morgę czy pół morgi na skraju swoich gruntów. Taka bowiem osiedlona rodzina chłopska stanowiła rezerwę tanich sił roboczych.

Ciężko dorabiali się ludzie na wykupionej ziemi. Stawały jedna obok drugiej, kryte słomą, kurne chaty. Materiał budowlany stanowił kamień, własnoręcznie wyrąbany i przywieziony z kamieniołomów, rzadziej drzewo.

Pierwsza wojna światowa ominęła Bochotnicę. Nic nie zmieniło się w niepodległej Polsce w nędznym bytowaniu tamtejszych ludzi. W roku 1935 liczba mieszkańców wynosiła 1.197, gospodarstw — 262. Przeciętnie koło 5 osób na gospodarstwo. Ziemi było niewiele. Tylko 387,5 ha. Jeżeli ten obszar podzielić przez ilość gospodarstw, wypadnie 1,5 ha. Czyli 5 osób utrzymywało się z gospodarowania na półtora hektara ziemi, przy prymitywnym systemie gospodarki. Jak można było wyżyć?

Poważną większość stanowiły gospodarstwa do 2 ha (73 procent). Nadto w gromadzie było 36 rodzin bezrolnych.

Aby dochrapać się kawałka ziemi wyzbywano się inwentarza lub zaciągano pożyczkę. W ten sposób Antoni Szymczuk, 80-arowy chłop, pozbył się krowy i konia, by dokupić jedną morgę dworskiej ziemi. Franciszek Piuta, właściciel 1.20 ha, sprzedał cały posiadany inwentarz żywy: konia, krowę, świnie i owce, a nawet wóz i pług, aby wykupić 2 morgi. Rezultatem tego była kompletna ruina gospodarstw, które pozbawione obornika i siły pociągowej, przestały przynosić jakikolwiek dochód. Zrujnowały je do ostatka podatki.

Zadłużenie gospodarstw w Bochotnicy przewyższało częstokroć ich realną wartość. W banku mogli uzyskać pożyczkę tylko zamożniejsi. Biedniejsi pożyczali od prywatnych kupców i lichwiarzy. Oprocentowanie było niezmiernie wysokie, często sięgało 40 złotych od sta na rok. Przy pożyczkach zarówno z banku jak i prywatnych zabijały rolnika coroczne wahania cen. Pożyczone pieniądze w latach, kiedy za metr żyta płacono 36 zł, w następnych latach przy cenie 12 zł, stawiały dłużnika w takiej sytuacji, że choćby dzień i noc pracować, a boso i nago chodzić, jadać tylko barszcz z ziemniakami — nikt nie zdołałby oddać długów.. Gospodarka szła na licytację.

Rynek zbytu dla mieszkańców Bochotnicy i źródło zaopatrzenia w towary stanowiły dwa miasta: Puławy i Kazimierz. Do Puław — 13 kilometrów, do Kazimierza — 4. Zboże, mleko, masło, jaja, żywiec sprzedawano w dni targowe na rynku. Jasne, że biedota wyzbywała się zboża zaraz po żniwach, żeby spłacić podatki i długi. Bochotnicę bardzo dotykały tzw. cykle świńskie. Kiedy za żywca płacono drogo, wszyscy chłopi z Bochotnicy rzucali się na hodowlę macior i tuczników. Zaledwie jednak sztuki zdołano utuczyć, ceny spadały o połowę i hodowla stawała się nieopłacalna. Zdarzało się, że zdesperowany brakiem nabywcy, chłop wypuszczał prosię z kojca na rynek.

Cukier w domu był rzadkością. Papierosów nie kupowano, kręcono je z liści tytoniowych, własnych lub kupionych u sąsiada, choć przepisy tego zabraniały. Pudełko zapałek wystarczało rodzinie na miesiąc. Ogień niejednokrotnie „pożyczano" z chałupy do chałupy. Najpoważniejszy wydatek stanowiła sól w ciągu całego roku i — nafta w zimie.

Odzież i obuwie noszono tak długo, póki się zupełnie nie zdarło. Tylko czterech mężczyzn w gromadzie miało po 3 garnitury. Kobiety, idąc do kościoła, nosiły obuwie w ręku i wkładały je dopiero przed progiem. Bieliznę nie nosiło się wcale, pończochy tylko od święta, a codziennie owijano nogi starymi gałganami.

Wzrastająca nędza i przeludnienie — oto co przynosił każdy rok sanacyjnych rządów.

Działania wojenne 1945 roku przeszły przez Bochotnicę nagłym huraganem. Front zatrzymał się na Wiśle. Ogień hitlerowskiej artylerii zrównał z ziemią 96 zagród.

Stefanię Rodzikową, płaczącą na zgliszczach domu, tak pocieszał żołnierz radziecki:

— Nie tuzi.. Płachoje wremia proszło. U nas bolszije zawody strojatsia w odin god. Pridiot i wam szczasliwoje wremia. My wam pomożem stroit nowuju żizń.

Kto przejeżdżał by dzisiaj przez Bochotnicę, nigdy nie domyśliłby się, że tu, gdzie stoją nowe domy, były 7 lat temu miny i zgliszcza. Odbudowały się wszystkie gospodarstwa. Postawiono zabudowania lepsze, piękniejsze, obszerniejsze. Pogorzelcy dostali kredyty z Państwowego Banku Rolnego w Lublinie. Trzysta tysięcy złotych (w starej walucie) na gospodarstwo, na spłaty w ciągu dwudziestu lat, z czteroletnim okresem karencji. Oprócz tego wieś otrzymała specjalne przydziały materiałów budowlanych: cementu, gwoździ, wapna i blachy.

Bochotnica ma obecnie 1.097 mieszkańców na 328 gospodarstw. Na jedno gospodarstwo — troje ludzi, przed wojną było — pięcioro. Z tych, co mieszkają w gromadzie, około 30% znalazło zatrudnienie w przemyśle, instytucjach państwowych i spółdzielczych. Pracują więc w przetwórni Bacutilu w Puławach, w przetwórniach owocowych w Kazimierzu i Zagłobie, w fabryce w Poniatowej, w cukrowniach w Opolu i Garlowie, w Zarządzie Wodnym na Wiśle, w gminnej spółdzielni — ba, nawet w Lubelskiej Fabryce Samochodów. Siedemdziesiąt osiem osób — dwadzieścia jeden najliczniejszych rodzin — wyjechało na Ziemie Zachodnie.

Przy takim stanie rzeczy, znacznie zmieniła się struktura gospodarstw. Od 3 do 5 ha ziemi posiadało przed wojną 21 ludzi, dzisiaj — 45. Wzrosła znacznie ilość gospodarstw 2 — 3-hektarowych. Przed wojną było ich 42 — dzisiaj jest 101. Natomiast do 1 ha jest dziś tylko 60 gospodarstw, gdy przed wojną było 124.

Z nawozów sztucznych i maszyn wieś zaczęła korzystać dopiero po wojnie. Przybliżyły się do niej miasta, jako rynek zbytu i źródło zaopatrzenia. W Klementowicach jest GS, w Bochotnicy filia, gdzie na miejscu GS prowadzi skup. Bo też jest co skupować. Jak pomną najstarsi wiekiem, nigdy dotąd chłopi nie mieli takiej struktury zasiewów, jaką stworzyli i tworzą teraz: na miejsce żyta, owsa i ziemniaków weszły wysoko opłacalne rośliny przemysłowe: buraki cukrowe, tytoń, rzepak, fasola. Zaczęli chłopi siać międzyplony i poplony. Rozwinęli hodowlę żywca.

— Idziemy naprzód. Jest początek 1951 r. Drugiego roku Wielkiego Planu. Obejmijmy wzrokiem ten rok: ma być u nas założona elektryczność, ma się powiększyć park maszynowy naszego SOM-u, będziemy mieli możność nabyć w sklepie więcej jeszcze towarów niż w zeszłym roku. Tyleśmy już z korzyścią własną i dla Państwa wprowadzili nowych upraw i sposobów gospodarowania, toteż i ten len, co przed nami staje jako nowość, trzeba nam zawojować. I zawojujemy, co?

Takie to dzieje Bochotnicy przypomniała na zebraniu Radzikowa, chłopka partyjna, przewodnicząca Koła Gospodyń. Opowiedziała je innymi słowy, po swojemu. I lepiej dlatego, piękniej od kronikarskiego zapisu, jaki czytelnik otrzymał spod mojego pióra.

O różnicy niech świadczy fakt, że len został na tymże zebraniu zakontraktowany.

Od siebie chcę dodać, że kiedy późną jesienią znów odwiedziłam Bochotnicę, lampy elektryczne gorzały nie tylko w 7-klasowej szkole i mieszkaniach, ale i na podwórzach, w stajniach i oborach. W filii GS-u obrót wyniósł w r. 1951 dwa razy tyle, co w r. 1950. A w SOM-ie park maszynowy składa się z 17 siewników zbożowych i jednego nawozowego, z czterech młocarni, dwu żniwiarek, trzech kopaczek i snopowiązałek.

Zofia Barchanowska

Fragment broszury przygotowywanej dla Ludowej Spółdzielni Wydawniczej

„Każdy pracownik POM winien mieć świadomość, że na jego pracę patrzą chłopi pracujący, że według jakości jego pracy, według jego postawy oceniają oni nie tylko jego indywidualny stosunek do jego zadań, ale oceniają też najczęściej nową formę gospodarki, którą reprezentują POM-y w rolnictwie.

...Szanujcie więc te drogocenne dla naszego państwa maszyny, dbajcie o nie tak, jak matka o swe dziecko, jak artysta o swój instrument. Walczcie bezlitośnie ze szkodnikami, którzy psują te cenne maszyny, piętnujcie niedbaluchów, którzy obchodzą się z nimi lekkomyślnie...

...Walczcie z niedbałą orką, ze złą jakością pracy, walczcie zdecydowanie z tymi, którzy wprowadzają do brygad i zespołów nastroje rozluźnienia dyscypliny, rozkład i anarchię w pracy. Są to najczęściej jawni lub zamaskowani wrogowie Polski Ludowej, demaskujcie ich i usuwajcie ze swego grona...“

(Z przemówienia Prezydenta RP Bolesława Bieruta wygłoszonego w dniu 6 marca 1952 r. na krajowej naradzie aktywu Państwowych Ośrodków Maszynowych).

Rys. H. Jarosz

ZBIGNIEW NOWICKI

WIOSNA W POM-ie

DYREKTOR ekspozytury POM w Ł., Rychter, wysoki, silny mężczyzna o rumianej, wesołej twarzy, wysyłając Kubalę do nakielnickiego ośrodka, przygotował go już na najgorsze.

— Nie myślcie, że czeka tam was ciepły, przytulny gabinet, że czekają tam na was ludzie, stęsknieni za wami. Cieszcie się jeśli będziecie mieli wygodne łóżko, z którego, jeśli zechcecie naprawdę pracować, wypadnie wam korzystać tylko kilka razy w tygodniu; resztę nocy spać będziecie na cudzych łóżkach, gdzieś w uspołecznionych wioskach. Wielu myśli tam o waszym przyjeździe, jak o przybyciu człowieka, który będzie chciał naprawiać to, co ich zdaniem nie da się naprawić, który przybywa tylko po to, aby przeszkadzać im w robocie. Ekspozytura wie dobrze, co się dzieje w nakielnickim POM-ie. Jest to miejsce, które na naszej mapie oznaczono, jako bagno. Nie sądzcie, że nie próbowaliśmy go osuszyć. Próbowaliśmy. Pięć razy zmienialiśmy tam dyrektorów, za każdym razem bagno stawało się głębsze. Dziś istnieje tam już nie bagno, a topiel. Wiem, co w tej chwili myślicie. Zmiana dyrektorów, to nie jest jeszcze wyjście z sytuacji, zmienić dyrektora to nie znaczy jeszcze naprawić POM. I słusznie myślicie. Ekspozytura nie okazała dyrektorom ośrodków dostatecznej pomocy. Ona ponosi w dużym stopniu winę za stan nakielnickiego POM.

— Tam, gdzie dziś stoi nakielnicki POM, gdzie zobaczycie nowe, murowane garaże Zetorów, kuźnie, warsztat mechaniczny, gdzie wyrósł budynek administracji, magazyn paliwa, kiedyś było tylko szczere pole. Rosły tam krzaki, piołun i macierzanka. A dziś? — Rychter przymknął na chwilę oczy jakby wydobywając z pamięci obraz miejsca, na którym zbudowano POM.

Nagle ożywił się. Podszedł gwałtownie do Kubali i zajrzał mu w oczy.

— Czy wiecie, że nakielnicki POM, gdybym był przesądny, mógłbym nazwać pechowym? Od samego jego powstania było w nim źle i źle jest do dzisiaj. Błąd jego tkwił w samym założeniu. Byłem wówczas chory, leżałem w szpitalu i budowę nakielnickiego POM-u zwierzyłem swemu zastępcy. Był to człowiek słaby, nie dorósł do zadań, które mu powierzyłem. POM nakielnicki postawił na górce, w oddaleniu od wsi, na pustkowiu. Och, ile kosztowało mnie zrównanie tej górki, umożliwienie dojazdu traktorom do postawionych na niej garażów. A ile strat powoduje do dziś wybór tego miejsca?

Latem przekonacie się ile szkody wyrządzić może postawienie POM-u w miejscu piaszczystym. Garaże są nieszczelne, wiatr przynosi do nich drobne ziarenka piasku, które dostają się do mechanizmu ciągników i powodują potem awarie.

Po dłuższej chwili Rychter powiedział do Kubali.

— Jak bardzo źle jest w nakielnickim POM-ie przekonacie się na miejscu. Zobaczycie, że tam sprawa gorzej jeszcze przedstawia się niż wam mówiłem. Ale jesteście przecież kierownikiem politycznym. Jedziecie, żeby to naprawić...

✻

— Nasz POM w Nakielnicy, towarzyszu kierowniku — mówił Kubali dyrektor, kiedy zadyszani od wiatru i oblepieni mokrym śniegiem, w swej wędrówce po POM-ie zatrzymali się na chwilę w pustej szopie na narzędzia rolnicze — nacz POM to potężna machina. Ale im jest coś cięższe, potężniejsze, tym bardziej trudno to ruszyć z miejsca. A my, prawdę mówiąc, nie ruszyliśmy jeszcze ani na krok. Jesienna akcja siewna nie może przecież tu wchodzić w rachubę. Pokpiliśmy sprawę. Pokpiłem i ja i cała załoga. Nie wykonaliśmy planu. Dlaczego? Dlatego, że dookoła nas chłopi są mało uświadomieni, nie chcą korzystać z pracy POM-u. Nie tylko dlatego. My także jesteśmy za mało uświadomieni, jeszcze nie dorośliśmy do swoich zadań. Widzieliście ten długi rząd siewników? Pięknie wygląda, prawda? Ale spróbujcie nimi pracować. Żaden z nich nie nadaje się do pracy w polu, wszystkie wymagają większego lub mniejszego remontu. — Dyrektor zamilkł nagle, jakby przestraszony swymi słowami.

Nie dostrzegł jednak w twarzy kierownika Wydziału Politycznego najmniejszego cienia przestrachu, potępienia czy groźby. Kubala zdawał się słów jego słuchać z wielkim zainteresowaniem; jego zmęczone oczy nabrały życia, ale nie utraciły nic ze swego spokoju.

W pustej szopie, gdzie rozmawiali, było zacisznie i mniej zimno niż na dworze. Pachniało ckliwym zapachem oliwy, ropy naftowej i żywicy. Za drewnianymi ścianami szalał wiatr i sypał mokry śnieg; podmuchy wiatru aż tutaj dostawały się przez nieszczelne oszalowanie z desek. Wiatr trzaskał gwałtownie niezamkniętymi na skobel drzwiami szopy.

— Nasz POM stoi na ostatnim miejscu pod względem oszczędności paliwa. Nie wiem zresztą dlaczego użyłem tu słowa „oszczędność“ — znów mówił dyrektor. — My nie tylko nie zaoszczędzamy ani kilograma, ale wydatkowaliśmy paliwa o 40 procent ponad plan. Kto za to ponosi winę? Ja. Rzecz jasna — ja, dyrektor POM-u. Niestety nie byłem w stanie dopilnować pracy całego POM-u, nie byłem nawet w stanie dopilnować jednej brygady, nawet kilku traktorzystów. Wielu z nich potrafiło zjeżdżać na śniadanie do wsi oddalonej nieraz o 8 km od miejsca pracy. Nie zdajecie sobie zapewne sprawy z groźnej sytuacji, w jakiej znajduje się nasz ośrodek. Po kampanii jesiennej 70 procent naszych ciągników wymagało większego lub mniejszego remontu. Zaledwie kilka traktorów i to przeważnie z brygady kobiecej, znajduje się na chodzie. Dziś mamy 20 lutego. Za miesiąc rozpocznie się wiosna kalendarzowa. Nie wiadomo, kiedy wrócą ciągniki, remontowane w Technicznej Obsłudze Rolnictwa. Co w takiej sytuacji wypada mi robić?

Dyrektor nie czekał na odpowiedź Kubali. Wszystkie braki i niedociągnięcia w pracy POM-u, jak straszliwe Erynie, dręczyły go w dzień i w nocy. Wiesławski, dawniej tęgi, 45-letni mężczyzna, po kilkunastu tygodniowym kierowaniu ośrodkiem schudł, a rumiana dawniej jego cera przybrała chorobliwie żółtą barwę i poorana była zmarszczkami, jak zwykle u człowieka, który nagle począł chudnąć. Duże, ciemne worki pod oczyma świadczyły ,że dyrektor albo cierpi na serce, albo też źle sypia po nocach. W ekspozyturze POM-u w Ł. dawano mu rady i wskazówki, które tak słuszne i prawdziwe w ciszy gabinetu Rychtera, w zetknięciu z konkretną rzeczywistością okazywały się dla Wiesławskiego złe i nieprzydatne, były jak pozornie prawdziwa moneta, która przy uderzeniu o coś twardego okazywała się fałszywą. Alarmujące sprawozdania, które dyrektor posyłał i składał w ekspozyturze nie robiły tam wielkiego wrażenia. Krytyczna sytuacja POM-u w Nakielnicy nie była specjalnie odosobniona i trwała tam jeszcze przed przyjściem Wiesławskiego. Za rządów innych dyrektorów także nie wykonywano tam planów produkcyjnych, także stały niewyremontowane traktory, które na gwałt przysposabiano do pracy dopiero przed samym rozpoczęciem kampanii, gdyż TOR był tak przeciążony robotą, że zwykle nie nadążał z wykonaniem opóźnionych remontów. Winę za nieprzygotowane ciągniki zwalano wtedy oczywiście na TOR. A TOR umiał się wytłumaczyć. Swe plany nie tylko wykonywał, ale i przekraczał. Nie jego było winą, że ciągniki do remontu przychodziły z opóźnieniem i w bardzo złym stanie. Cierpiały na tym tylko spółdzielnie produkcyjne, małorolni i średniorolni chłopi, u których POM nie wykonywał w porę swej roboty.

O wszystkich tych sprawach dyrektor Wiesławski mówił Kubali nieledwie z ulgą, jak ktoś kto zdejmuje ze swych pleców gniotący go ładunek i część tego ciężaru przekłada na barki drugiego.

— Nie staraliście się oprzeć w swej pracy na organizacji partyjnej? — Spróbował naprowadzić dyrektora na szczególnie obchodzące go zagadnienie.

— Próbowałem. I ciągle, do dziś ustawicznie próbuję. Nie można przecież kierować większym zakładem pracy bez oparcia się o partię. — Powiedział.

Ostatnie zdanie wypadło mu szybko i gładko. Widać było, że tę zasadę wrył sobie głęboko w pamięć na kursie dla dyrektorów POM-u.

Ze swej obszernej torby wyciągnął Kubala gruby notes oprawiony w niebieskie płótno.

Organizacja partyjna liczy tu 12 osób — stwierdził odczytując jakąś kartkę.

— Tak. Sekretarzem organizacji jest u nas Pohoryles, który jest u nas jednocześnie kierownikiem personalnym. Obecnie od dwóch tygodni pracuje on w terenie, jako pełnomocnik gminy do akcji planowego skupu zboża.

Kubala wertował swój notes:

— Oprócz was i waszego zastępcy, Pohorylesa, organizacja partyjna posiada jeszcze 10 członków, 6 traktorzystów, brygadzistkę, mechanika objazdowego, kowala i księgowego. A ilu jest kandydatów do partii?

— Połczyński, traktorzysta i korespondent „Sztandaru Robotniczego“, naszej partyjnej gazety.

— I to już wszyscy kandydaci? — Zdziwił się Kubala.

Dyrektor wzruszył ramionami:

— Mało ich, rzeczywiście mało. Ale Pohoryles uważa że w naszym POM-ie nikt nie zasługuje na przyjęcie do Partii. Nawet kilku członków, na przykład Jasiński, albo traktorzyści: Keller i Baran — to partyjnicy tylko z legitymacji. I powiedźcie — wybuchnął gniewem — jak w takim wypadku współpracować z organizacją partyjną? Na kim się tu oprzeć? Na sekretarzu organizacji partyjnej? Sekretarz jest moim zastępcą, pracujemy razem. Ale czy można to nazwać oparciem się na organizacji partyjnej?...

Byłem dawniej dobrym ślusarzem, za swą pracę otrzymałem tytuł przodownika pracy. A kim jestem dziś? Dziś jestem złym dyrektorem. Byłem szczęśliwy, zadowolony ze swej pracy, wyróżniano mnie zawsze i stawiano za przykład innym. A dziś ze wstydem chowam przed innymi twarz. Dlaczego właśnie ja, ślusarz, mam zajmować stanowisko dyrektora? Mówił teraz coraz głośniej, przekrzykując hałaśliwe drzwi szopy.

Twarz miał pociemniałą od wzburzenia, drżały mu wargi i mówiąc, szeroko wymachiwał rękami. Dyszał ciężko, słowa z jego zaciśniętej wzruszeniem krtani wybiegały gwałtownie i ochryple.

Kubala odsunął się na krok i z tej odległości dłuższą chwilę spoglądał na dyrektora swymi zmęczonymi, spokojnymi oczami, które ani na chwilę nie traciły wyrazu skupienia. Widać było, że Kubala myśli o czymś pilnie.

✻

Do śniadania, które w stołówce POM-u składało się z kubka czarnej kawy i kilku kawałków chleba posmarowanego masłem, zasiadł Kubala z twarzą spokojną, nawet wesołą. Chwilę przekomarzał się z podającą do stołu młodą dziewczyną, tęgą, o dużych, pełnych piersiach i czerwonej twarzy. Potem podrwiwał ze starszego agronoma krzywiącego usta po każdym łyku czarnej i gęstej „lury“. Patrząc w zamyśleniu na Kubalę, dyrektor zastanowił się, czy kierownika politycznego powinien dalej traktować poważnie, czy też uważać go należało za człowieka nieodpowiedzialnego. Żałował, że tak długo i szczegółowo opowiadał Kubali o POM-ie, nie widział bowiem, aby nakreślona przez niego sytuacja ośrodka uczyniła na kierowniku politycznym właściwe wrażenie. Złościł go dobry humor Kubali, gniewała go obawa, że ekspozytura przysłała do Nakielnicy nieodpowiedniego człowieka, że znów nie poprawi się praca w POM-ie.

Foto WAF

— I cóż, towarzyszu kierowniku polityczny, cóż będzie z naszą dalszą pracą? — Wybuchnął, specjalnie akcentując stanowisko Kubali, który przecież nie przybył tu po to, aby żartować sobie z kucharką i agronomem — Jakie wymyśliliście już sposoby dla poprawienia pracy naszego POM-u?

I stwierdziwszy, że oprócz agronoma i ich obydwu nie ma już nikogo w stołówce, dodał:

— Bo chyba zgadzacie się ze mną, że dotychczasowa praca POM-u jest nic nie warta. Powiedzcie w jaki sposób chcecie ją naprawić.

Natarczywe pytanie dyrektora nie zepsuło dobrego humoru kierownika politycznego. Kubala przerwał długi, utrzymywany w ironicznym tonie wywód, w którym starał się uzasadnić agronomowi dlaczego uważa, że czarna zbożowa kawa zdrowsza jest od tej czarnej kawy, jaką agronom z pewnością pijał w kawiarniach za czasów studenckich i zwrócił na dyrektora zdziwione spojrzenie.

— Dlaczego uważacie, że to ja powinienem wymyśleć sposoby poprawienia pracy POM-u?

Dyrektor wzruszył ramionami. Gniew jego wzrastał z każdą chwilą.

— Dlatego, że ja, jak sami ode mnie słyszeliście, nie potrafiłem wynaleźć tych sposobów.

— Oprócz nas dwóch w nakielnickim POM-ie jest jeszcze 40 kilku pracowników...

Gniew dyrektora ulotnił się nagle. Dyrektor spoglądał teraz na Kubalę mrugając bezmyślnie powiekami. Zaskoczyła go nieoczekiwana odpowiedź Kubali. Otworzył usta, żeby jeszcze raz powiedzieć o całkowitym braku zainteresowania załogi POM-u, ale Kubala zdążył go uprzedzić.

— Czy powiecie, że oprócz nas dwóch nikt tu nie jest zdolny do wynalezienia sposobów poprawienia pracy POM-u?

✻

Pierwszym na co Henryk Kubala zwrócił szczególną uwagę w nakielnickim POM-ie był warsztat remontowy, od którego pracy zależała sprawność każdej przeprowadzonej przez ośrodek kampanii. Bez odkładnego przygotowania do akcji pługów, siewników, kultywatorów, bron, wszystkich narzędzi towarzyszących ciągnikom, śmieszną wydałaby się myśl o orkach i siewach wiosennych, kampanii oczekującej nakielnicki POM już za kilkanaście tygodni.

Foto CAF

Foto API

O warsztacie remontowym, od dyrektora POM-u nie dowiedział się Kubala nic dobrego. Obsługa warsztatu składała się z pięciu osób, 3-ch kowali: Dubasa, Kausika i Jasińskiego, który był członkiem partii oraz dwóch mechaników: Pałygi i Kowalskiego (mechanika objazdowego, także członka partii), przy takiej obsadzie warsztat zdolny był nie tylko przygotować narzędzia do kampanii jesiennej oraz w czasie samej akcji utworzyć ruchomą brygadę dla wypadków nagłego zepsucia się maszyn w terenie, ale już na wiosnę przygotowywać remonty maszyn żniwnych — snopowiązałek i młockarń. A jednak do dnia przyjazdu Kubali, warsztat ten przygotował narzędzia towarzyszące zaledwie w trzydziestu pięciu procentach.

— Dlaczego? — Kubala pytał o to Wiesławskiego.

— Mówiłem już wam. Na wniosek Pohorylesa, sekretarza organizacji partyjnej usunęliśmy kierownika warsztatu, dobrego fachowca. Upijał się. Zresztą, nie on jeden w warsztacie. Usunęliśmy go dla nastraszenia innych. Ale i tak inni nie przestali pić wódki. Piją i robota leży. Normy niby przekraczają, ale jakie to tam normy. Sami je wymyślili. Otrzymałem teraz nową umowę zbiorową dla pracowników POM-u. Dopiero teraz widzę, jakie to powinny być normy...

✻

Późnym wieczorem, kiedy po męczącym, pełnym silnych wrażeń pierwszym dniu przeglądu POM-u, Kubala jeszcze nierozebrany odpoczywał na żelaznym łóżku w pokoju, przeznaczonym przez dyrektora na wydział polityczny, zapukał do jego drzwi traktorzysta, Piotr Nitkiewicz.

— Wy, towarzyszu kierowniku polityczny — Nitkiewicz przystąpił z miejsca do sprawy z którą przyszedł — nie wiecie pewnie, że w naszym POM-ie jest dwóch korespondentów „Robotniczego Sztandaru“. Nie powiedział wam nikt o tym prawda? Przyszedłem więc wam się zameldować. Nitkiewicz jestem, traktorzysta. — Wyciągnął do Kubali szeroką czarną od oliwy rękę. — Piotr Nitkiewicz. A drugim korespondentem jest Połczyński. Ale Połczyńskiego nie ma teraz w POM-ie, pojechał z sekretarzem na skup zboża do Brzozowej Dąbrowy...

Kubala podniósł się z łóżka i podsunął traktorzyście krzesło.

— Od jak dawna jesteście towarzyszu korespondentem „Sztandaru Robotniczego“?

— Od jak dawna? — Nitkiewicz podrapał się w czarną wełnistą czuprynę. — Od dawna, towarzyszu kierowniku. Już chyba z pół roku jak piszę do gazety

— Ale jak dotąd nie napisaliście, zdaje się, ani słowa prawdy. — Oczy Nitkiewicza rozszerzyło zdziwienie. Zdumienie odebrało mu głos. Z rozchylonymi ustami dłuższą chwilę spoglądał tępo na kierownika wydziału politycznego.

— Nooo... Jak to rozumiecie? — wyjąkał.

— Prosto. Dotychczas nie napisaliście ani słowa prawdy o POM-ie.— Powtórzył ostro Kubala. — Dotychczas w „Sztandarze Robotniczym“ nie wydrukowano ani słowa o tym, że POM nie wykonał planu, że szwankuje w nim dyscyplina pracy, że panuje w nim bałagan, pijaństwo, że nie zrobiono przygotowań do akcji wiosennej. Czytałem co pisaliście. W ekspozyturze w Ł. jest cała teczka wycinków z gazet o nakielnickim POM-ie. Donosiliście gazecie, że taki i taki traktorzysta osiągnął 130 procent normy, ale nie było tam nawet wzmianki, że przeciętnie traktorzyści wykonywali normę poniżej 80 procent, że większość traktorzystów nie oszczędza paliwa, niszczy ciągniki, przy pracy pije wódkę.

A wy jak normę wykonywaliście?— zapytał ostro Kubala.

— Sto dziesięć procent — wyprężył się Nitkiewicz.

— To dobrze. Pisaliście jednak, jak to pięknie i serdecznie przyjmują was na wsi chłopi, przemilczeliście, że nie udało się wam wykonać planu umów z chłopami. Zamilczeliście, że...

— Nie chcieliśmy milczeć! — krzyknął Nitkiewicz — Sekretarz kazał. Nie pozwolił pisać.

Kubala nie mógł powstrzymać gniewnego uniesienia, które porwało go, gdy począł wyliczać wszystkie braki POM-u. Otwartą dłonią uderzył na płask w plik leżących na stole akt personalnych.

— Dlaczego kazał milczeć? Co miał do waszych korespondencji?

Nitkiewicz niespokojnie poruszył się na krześle, które aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Był ogromnym, silnym mężczyzną o szeroko rozrośniętych ramionach. Wszystko w nim było ogromne, mocne i twarde. W zielonym, wyplamionym smarami i oliwą kombinezonie, podobny był do grubego, omszałego pnia drzewa. Czarne, skudlone włosy na głowie wyglądały jak kępa uschniętego porostu. Tylko twarz miał bardzo ludzką: otwartą, poczciwą, choć trudną do wyrażenia uczuć. Teraz odbijał się na niej niepokój — Nitkiewicz przygryzał dolną wargę, drgał mu muskuł prawego policzka, widoczna oznaka podenerwowania.

— Sekretarz nie pozwolił o tym pisać — powiedział — kiedy zostaliśmy korespondentami wezwał nas do siebie i powiedział, że przed wysłaniem do redakcji naszych korespondencji, musimy przynosić mu je do przeczytania i uzgodnienia, bo w przeciwnym razie będziemy pociągnięci do surowej odpowiedzialności. I przynosiliśmy mu korespondencje.

— Nie trzeba było przynosić. Przez dwa lata byłem korespondentem robotniczym i nie przynosiłem korespondencji swemu sekretarzowi organizacji partyjnej.

Nitkiewicz bezradnie rozłożył ręce, grube jak gałęzie drzewa:

— Straszył nas. Inni też mówili, że trzeba przynosić. I przynosiliśmy mu do uzgodnienia.

— Uzgadniał? — Zapytał ironicznie Kubala.

— Uzgadniał. Napisałem korespondencję, że oczekują nas roboty jesienne, a w POM-ie brak jest smarów. Ale sekretarz ją zatrzymał. Twierdził, że jeśli ludzie dowiedzą się z prasy, że w POM-ach brak jest smarów, to zaraz powiedzą: „Patrzcie, brak smarów nawet w POM-ach“. I zaczną zaraz wykupywać smary, powstanie panika. Korespondencją zrobimy szkodę polityczną i gospodarczą. Sekretarz mówił nam także, że ekspozytura wie dobrze o braku smarów, dyrekcja nakielnickiego POM-u złożyła zapotrzebowanie i smar dla nas wkrótce nadejdzie. Ale smar nie nadszedł. Potem zmienił się dyrektor, przyszedł nowy, Wiesławski i z nim rozpoczęliśmy orkę jesienną. Zanim jednak Wiesławski zorientował się co jest, a czego brak w POM-ie, zabrakło właśnie smaru i stanęły traktory. Trzeba było wtedy natychmiast składać zapotrzebowanie i przeszło kilka dni zanim smar do nas nadszedł. Odwlokły się z tego powodu roboty w polu, przeklinali nas chłopi, którzy zawarli umowy i powiedzieli, że więcej nie zgodzą się na pracę POM-u. I w tym roku na pewno ciężko będzie z umowami.

— A co powiedział sekretarz, kiedy okazało się, że jednak nie załatwiono sprawy smarów? — Zapytał cicho Kubala.

— Powiedział, że zapotrzebowanie na smary złożyć miał dawny dyrektor, ale był on wrogiem, nie złożył zapotrzebowania i dlatego usunięto go z POM-u.

— I od tego czasu nie napisaliście, oczywiście, żadnej krytycznej korespondencji?

— Napisałem. Napisałem duży artykuł, ogromny — Nitkiewicz rozłożył swe szerokie dłonie jakby ukazując wielkość korespondencji. — O całym POM-ie napisałem, o tym co się tu dzieje, co jest tu złe, co trzeba naprawić i kto powinien to naprawić.

— Ale sekretarz wstrzymał waszą korespondencję, ponieważ podważała autorytet partii. Ekspozytura wie o tym wszystkim i jeśli nie zaradza złemu, to tylko dlatego — zgadywał Kubala — że nie jest w stanie. Czy tak mówił wam sekretarz?

— Właśnie tak mówił. I zatrzymał u siebie mój artykuł. — Korespondent „Robotniczego Sztandaru“ poruszył się niecierpliwie aż zatrzeszczało pod nim krzesło. W oczach jego błysnęła iskierka radości, ale po chwili zgasła. Nitkiewicz powiedział niepewnie:

— Mam odpis tego artykułu. Mógłbym go wam pokazać. Przecież wy teraz będziecie u nas kierownikiem politycznym.

— I przynieśliście tę korespondencję do mnie do uzgodnienia?

Nitkiewicz kiwnął głową. Kubala poderwał się ze swego miejsca i zbliżył się gwałtownie do traktorzysty, jakby chciał go uderzyć. Powiedział jednak zupełnie spokojnie:

— Towarzyszu Nitkiewicz — cedził słowa — jutro, natychmiast wyślecie swoją korespondencję do gazety. Natychmiast, słyszeliście?... A w drugim dniu po ukazaniu się jej w gazecie odbędziemy ogólne zebranie załogi POM-u.

Zbigniew Nowicki

Fragment powieści: „Trudny siew“.

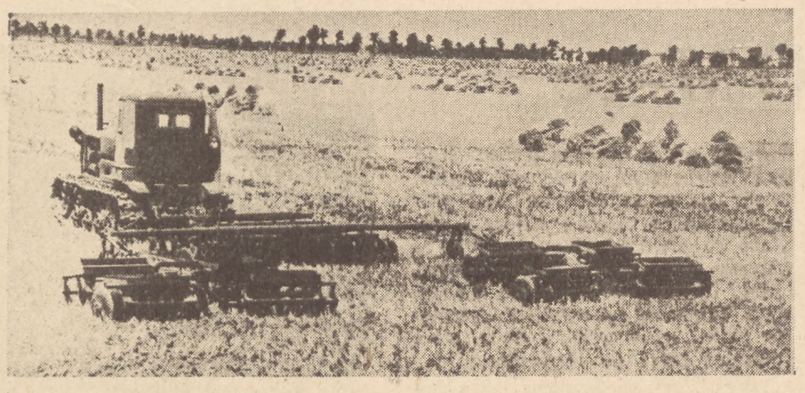

FERENC JUHASZ

15 marca — Święto Republiki Węgierskiej

PIEŚŃ O TRAKTORZE

Na kolana, koniczki poczciwe !
Do spółdzielni zjechał traktor nowy:
ogumiony, zielony, o mocy
trzydziestu koni parowych.

Jeszcze wczoraj otaczali go ludzie:
ten żartował, tamten się zachwycał,
ów pogłaskał lub na siodło wskoczył,
próbując ruszyć kierownicą.

Nazajutrz traktor już orał —
wesoło, w cztery pługi na raz,
nos ociekał mu wrzącą wodą,
ze świstem wydychał parę.

Na kolana, koniczki poczciwe,
i ty, koniu z gwiazdką na czole!
Ognisty źrebak ze stali
pije benzynę i olej.

Rozgarniamy spopielałe ugory,
nad polami skowronek śpiewa,
Chmury mkną w błękitnym wietrze
i nawet sercu chce się śpiewać.

Obiad. Leżę za panbrat z traktorem:
czoło moje muskają kwiaty;
z łąki idzie łaciata krowa,
staje nade mną i rozdyma chrapy.

(Przekład Tadeusza Fangrata

MIECZYSŁAW INGLOT

RAPSODIA WALKI

POWIEŚĆ autobiograficzna Illesa*) charakteryzują dwa zasadnicze momenty. Po pierwsze wiąże się ona z historią powstawania proletariatu i dziejami ruchu robotniczego na Węgrzech oraz w krajach objętych ich wpływami, a wchodzącymi wówczas w skład monarchii austro - węgierskiej. Po drugie, powieść ta obrazuje dzieje rozwoju ideologicznego człowieka i pisarza oraz ludzi z nim związanych, a pochodzących z kręgów proletariatu, chłopstwa czy drobnomieszczańskiej inteligencji, ludzi, którzy w ścisłym powiązaniu z ruchem robotniczym swego narodu kształtują swoje życie osobiste.

Terenem akcji powieści jest przeważnie Ruś Podkarpacka, mały, lesisty kraik, położony na południowych stokach wschodnich Karpat, a graniczący obecnie, jako część składowa Radzieckiej Ukrainy z CSR, Węgierską Republiką Ludową oraz Rumuńską Republiką Ludową. Wchodzi on na arenę dziejową w charakterze terenu eksploatacji kapitalistycznej z końcem XIX w., jako kraj należący wówczas do korony św. Stefana monarchii austro - węgierskiej. O jego wartościach gospodarczych decydują ogromne puszcze, co przy dogodnych warunkach spławu, taniości ziemi i dużej ilości tanich robotników, umożliwiało obcym kapitalistom, przeważnie niemieckim, osiąganie kolosalnych zysków przy sprzedaży drzewa czy wyrobów i przetworów drzewnych, powstających w licznie zakładanych tartakach oraz fabrykach chemicznych. Drugim źródłem bogactw Rusi Podkarackiej, a zarazem terenem inwestycji obcych kapitałów, były winnice.

Drogi postępu kapitalistycznego wytyczają więc na tych terenach niemieccy kapitaliści oraz węgierscy i austriaccy obszarnicy.

Około półtoramilionowa ludność karpackiego kraiku, stanowiła i stanowi do dziś mozaikę narodowości i języków. Przewagę ilościową ma naród rusiński, będący częścią etniczną narodu ukraińskiego i mówiący podobnym językiem. Elementem napływowym są tutaj Węgrzy, Żydzi węgierscy, Słowacy, Czesi i Rumuni. Byli oni jednakowo uciskani w majątkach obszarniczych i w fabrykach i jednakowo nienawidzili swych ciemięzców. Rozbić jednolity front wyzyskiwanych starali się ówcześni władcy tych ziem przez stworzenie uprzywilejowanych grup narodowościowych i podsycanie w ten sposób wzajemnych antypatii. Walkę o świadome zjednoczenie robotników pod wspólnym czerwonym sztandarem społecznego i narodowego wyzwolenia, podjęły dopiero organizacje robotnicze; związki zawodowe i lewicowi działacze węgierskiej socjaldemokratycznej partii robotniczej.

Syn rujnowanego przez kapitalistycznych monopolistów właściciela winnicy, Geza Balint, autorskie alter ego, jest bohaterem karpackiej opowieści. Wzrasta on w węgierskiej rodzinie, gdzie żyje i trwa pamięć bohaterów węgierskiego i europejskiego ruchu wyzwoleńczego, pamięć Ferenca Rakoczego i Garibaldiego, w rodzinie, której przodkowie walczyli pod sztandarami Ludwika Kossutha podczas węgierskiej rewoluci 1849 r. Członkowie tej rodziny, to przedstawiciele postępowej inteligencji krajowej, którzy żywo interesują się ruchem politycznym i działają w szeregach postępowej partii mieszczańskiej, t .zw. „niepodległościowców", przeciw pro-austriackiej partii rządowej. Wybitnym działaczem „niepodległościowców" jest ojciec narratora.

Pierwszym problemem, z którym styka się chłopiec podczas swych zabaw dziecinnych, są antagonizmy narodowościowe. Bójka dzieci szkolnych, węgierskich z rusińskimi, zostaje rozdmuchana przez propagandę austriacką do rozmiarów *„pobicia przez rosyjskich agentów bezbronnych węgierskich dzieci"*. Mały chłopak styka się po raz pierwszy z fałszem „wielkiej polityki", z brudem kapitalistycznych stosunków. Doskonałym chwytem artystycznym pisarza jest rzucenie na ekran prostej logiki dziecka, pajęczej siatki matactw. Osiąga przez to świetny efekt komiczny ostrzem skierowany przeciw ustrojowi.

Różnice narodowościowe, oprócz zasadniczej funkcji rozbijania jedności wyzyskiwanych i dostarczania argumentów dla polityki zagranicznej (zmierzającej do przygotowania gruntu pod pierwszą wojną imperialistyczną), mają jeszcze doraźne cele — np. rozsadzania jedności robotniczego ruchu strajkowego.

Ale wraz z postępującym rozwojem kapitalizmu, coraz bardziej obnaża się klasowy charakter nacjonalizmu, jako argumentu politycznego, maskującego istotną walkę między robotnikami a kapitalistami. Strajk robotników cegielni w Beregszasz, zmusza nacjonalistycznie nastawionych miejscowych posiadaczy do podania sobie ręki. Na posiedzeniu burżuazyjno - obszarniczej elity, złożonej z Węgrów, Rusinów i Żydów, nastawionych prorosyjsko, prowęgiersko, czy proniemiecko, w zależności od rodzaju obcych kapitałów, włożonych w kierowane przez nich przedsiębiorstwa, przewodniczący „szanownego zgromadzenia" obszarnik Gulasci, streszcza następująco sens przemian, jakie zaszły na skutek tego przejawu nowej, wrogiej dla burżuazji siły: *„Nie Rosjanie i nie Niemcy są teraz niebezpieczni dla Węgier. Ten, kto nawet po procesie Fothyego nie zrozumiał, gdzie kryje się nieprzyjaciel i kto jest tym nieprzyjacielem, ten, obawiam się, ocknie się tylko wtedy, gdy dach jego będzie mu się palił nad głową"*.

Młody Geza w tych warunkach szybko i trafnie odcyfrowuje życie. W 14 roku życia wpada mu w rękę „Makar Czudra" Maksyma Gorkiego. Fakt ten wywarł wielkie wrażenie na chłopcu. Pagłębia je jego starszy przyjaciel Asztalos, opisując życie wielkiego pisarza rosyjskiego. *„Głodny, zmęczony wędrowiec ze zranioną nogą, nie marzy o bogato nakrytym stole, o miękkiej pościeli, lecz przygotowuje się do walki, wzywa do niej wszystkich takich, jak on sam. Nie chodzi mu o taką walkę, w której wzajemnie wyniszczają się narody i nakładają na zwyciężonych swoje jarzmo, lecz o taką, w której miliony biednych, głodnych, oberwanych, uciemiężonych ludzi zdobywają dla siebie prawo do życia"*. Takim wędrowcem obiecuje być młody Geza Balint.

Uznając wzór Gorkiego, jako główny narrator powieści, Bella Illes kontynuuje go również, jako pisarz. Kompozycja powieści przypomina w wielu momentach cykl Gorkiego: „Dzieciństwo", „Wśród ludzi" i „Moje Uniwersytety". Charakterystyczną cechą nowych proletariackich powieści o dzieciństwie jest fakt ukazania rozwoju psychiki dziecka w najściślejszym powiązaniu z życiem, w walce z tym życiem. Przekreślają one burżuazyjny indywidualizm i psychologizm, będący obciążeniem kreacji dziecięcych u pisarzy mieszczańskich.

Powieść z kolei przenosi nas w nowe środowisko do Budapesztu — poszerza się krąg obserwacji czytelnika tej epopei walki Rusi Podkarpackiej. Narrator - Balint styka się z robotnikami i ruchem robotniczym. Dom Robotniczy w Budapeszcie jest terenem częstych wycieczek młodego bohatera. Węgierska socjaldemokratyczna partia robotnicza w początkach XX w. i kierowane przez nią związki zawodowe, których ośrodki znajdowały się w Budapeszcie, obciążona była charakterystycznymi błędami. Zasadniczo streszczają się one w trzech punktach: tolerowanie arystokracji robotniczej, pasożytującej na podziałach narodowościowych, niezrozumienie konieczności sojuszu z chłopstwem, trade - unionizm, przejawiający się także w dyskryminacji wobec robotników zrzeszonych w innych niż wielkoprzemysłowe związkach zawodowych. Dom Robotniczy staje się widownią tarć i sporów. Balint, obserwując je, poszerza krąg swoich doświadczeń politycznych.

Z kolei wędrujemy za narratorem do tartaków w Pemete — podgórskiej karpackiej miejscowości. Młody Geza nawiązuje tu kontakty z miejscowymi rewolucjonistami. Historia wsi Pemete zajmuje dużo miejsca w powieści, jako dokument i rezultat oddziaływania kapitalistycznej cywilizacji, ukazuje drugie oblicze postępu kapitalistycznego. Spokojna wieś podgórska, włączona z końcem pierwszej połowy XIX w. w tryby kapitalistycznego ucisku, popada w zależność od właścicieli tartaków. Zamienieni w robotników chłopi nie mogą się pogodzić ze swoim losem. Nie rozumiejąc, że wrogiem ich jest ustrój, a nie poszczególni kapitaliści, zabijają nieludzkiego właściciela tartaku, później inżyniera, wreszcie buchaltera. Ale pisarz stwierdza nieuchronność dziejowego rozwoju: *„Bogatego Niemca pochowano. Lecz tartak pozostał i od tego czasu królował nad Pemete"*.

Gwarzący przy ogniskach robotnicy wybiegają myślami w przyszłość. Oczekują człowieka, który przyniesie im wolność i dobrobyt. *„Od wieczora do wieczora i z roku na rok, poprzez dziesiątki lat powtarzane były wciąż te same baśnie. Rozpalane wieczorem ogniska gasły po północy, lecz Mesjasz nie nadchodził, próżno też oczekiwały ludy karpackich wyżyn i królewicza „Csaby i księcia Włodzimierza"*. Wyzwolenie przyszło skądinąd. Drogę do niego wskazał pierwszy zwycięski strajk o podwyższenie płac, prowadzony poprzez wzmożony zbiorowy sabotaż pod kierownictwem uświadomionych proletariuszy.

W lecie 1914 r. wybucha wielka wojna imperialistyczna. Geza Balint zostaje wzięty do wojska w r. 1916. Na kartach powieści ukazującej dotychczasowe skutki wojny w postaci listów, zawiadamiających o śmierci bliskich, zjawiają się coraz częściej, w miarę jak front przesuwa się na Podkarpacie, obrazy z pola bitwy. Wreszcie, pod koniec wojny ukazuje Illes agitację wśród wojska, zmierzającą do przerwania wojny imperialistycznej i ustanowienia pokoju. Na kartach powieści pojawia się słowo *„Lenin"*: *„Lenin, którego wczoraj wielu znało jeszcze tylko z nazwiska, wyrósł w ciągu kilku dni, czy kilkunastu godzin na olbrzyma. Jak żołnierze śmiertelnie ranni, mają na ustach imiona swych matek tak teraz żołnierze myśleli tylko o Leninie, ponieważ słowo „Lenin" było dla nich symbolem życia"*.

„Królestwem Grzegorza Zatkiewicza" nazywa autor historię, która rozgrywała się w latach 1918—1921 wokół autonomii Rusi Podkarpackiej. W okresie trwania Radzieckiej Republiki Węgierskiej (1919), na Podkarpaciu walczyły oddziały Gwardii Czerwonej, w szeregach której znajdował się również Geza Balint. Na skutek nacisku interwentów czeskich, francuskich i rumuńskich, z braku poparcia ze strony socjaldemokratów węgierskich, którzy wraz ze świeżo utworzoną partią komunistyczną dzielili władzę w Radzieckiej Republice Węgierskiej, Gwardia Czerwona poniosła klęskę. Na Rusi Podkarpackiej zapanowały rządy czeskich agentów i francuskich generałów.

Tu w końcowej partii powieści, w ujęciu faktów popełnił autor pewien błąd. Polega on na nieumiejętności znalezienia odpowiednich środków wyrazu literackiego dla rozgrywających się zdarzeń. Z jednej strony bowiem mamy bogaty materiał historyczny, którego właściwej interpretacji, jak słusznie sam autor zauważa, nie znajdziemy u żadnego z historyków. Z drugiej zaś strony w dziele, które nie jest podręcznikiem historii, zachodzi konieczność wprowadzenia artystycznych, literackich uogólnień i obrazów. Autor usiłuje to osiągnąć drogą humorystycznych anegdot, co szczególnie uwidocznia się w ostatnich partiach powieści. Błędem i brakiem takiego ujęcia jest to, że postacie historyczne, począwszy od prezydenta Massaryka a skończywszy na Grzegorzu Zatkiewiczu, wychodzą w powieści jak kukiełki z czasopisma satyrycznego. W literackiej trosce o śmieszność przedstawianych postaci popełnia autor błąd reżysera teatralnego, chcącego efekt komiczny osiągnąć przez fantastyczny ubiór aktorów. A przecież komizm postaci historycznych przedstawionych w powieści nie wynika z tego, że one były błaznami, lecz z tego, że błaznów uczyniła z nich historia.

Po latach bojów lud Rusi Podkarpackiej doszedł wreszcie do celu. W roku 1944 Ruś Podkarpacka wróciła do Ukraińskiej SRR. Rapsodia walki znalazła swój zwycięski finał. Jako żołnierz Armii Czerwonej, Geza Balint wyzwala swoją ojczyznę spod jarzma faszystowskich najeźdźców.

Powieść Illesa, obejmując spory okres czasu, przekazuje zarazem mnóstwo ciekawych faktów historycznych o kraju mało na ogół znanym. Charakter dokumentarny powieści stanowi jej duży walor. Zasadniczą jednak zaletą „Rapsodii karpackiej" jest to, że ukazała ona rozwój ruchu robotniczego w jego specyficznej formie, wynikającej z wielonarodowościowego charakteru kraju podkarpackiego. Zaletą jej jest to, że umiała ukazać rozwój ideologiczny jednostki i udowodnić, że możliwy jest on tylko przez walkę w szeragach proletariatu. Zaletą jej jest wreszcie to, że umiała wykazać decydujący wpływ rosyjskiego ruchu robotniczego, socjalistycznej literatury postępowej i zwycięstwa Rewolucji Październikowej na losy narodów Rusi Podkarpackiej.

Mieczysław Inglot

*) *Bella Illes, Rapsodia karpacka.*

CZESŁAW PETELSKI

Pawka Korczagin

Wzór pozytywnego bohatera młodzieżowego

LITERATURA i film radziecki pozytywnych bohaterów, którzy stworzyły cały szereg postaci wyszli poza ramy utworu, stali się własnością całego narodu, aktywnymi współuczestnikami życia, którzy siłą pociągającego przykładu wywarli olbrzymi wpływ na kształtowanie się nowego, socjalistycznego społeczeństwa. Ileż to pokoleń rewolucjonistów uczyło się bohaterstwa i umiłowania sprawy proletariackiej od wciąż żywej, niezapomnianej postaci matki z powieści Gorkiego? Dla iluż milionów widzów Maksym z trylogii filmowej Kozincewa i Trauberga był najwspanialszym wzorem i przykładem? Czyż Sergiusz Tutarinow z powieści i filmu „Kawaler Złotej Gwiazdy" nie jest dziś własnością całego narodu radzieckiego?

Jeżeli mówimy o oddziaływaniu bohaterów powieści czy filmu na życie społeczeństwa, to powinniśmy pamiętać, że szczególnie doniosłą rolę ma do spełnienia pozytywny bohater młodzieżowy. Młody widz czy czytelnik jest nadzwyczaj podatny na zły lub dobry wpływ dzieła sztuki, w poznawanych przez siebie utworach szuka wzorów do naśladowania. Im pełniejsze i doskonalsze wzory znajdzie, tym prędzej stanie się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa.

Jedną z najpiękniejszych postaci pozytywnego bohatera młodzieżowego jest Pawka Korczagin z powieści Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal". Jest to bodajże najbardziej popularna i najchętniej przez młodzież czytana książka, która zdobyła sobie miliony czytelników nie tylko w Związku Radzieckim, ale i na całym świecie. Co więcej, sylwetkę Korczagina znają niejednokrotnie ci, którzy nigdy nie czytali powieści Ostrowskiego, stał się on już dzisiaj prawie legendarną postacią, żyjącą własnym życiem w tradycji młodego pokolenia.

Do spopularyzowania dziejów bohaterskiego komsomolca przyczynił się w niemałym stopniu film o Korczaginie, zrealizowany przed dziesięciu laty przez znakomitego reżysera radzieckiego, Marka Dońskiego*). W okresie wojny z najazdem hitlerowskim film ten mobilizował społeczeństwo radzieckie do walki, na przykładzie Pawki ukazywał młodzieży wielką siłę ludowego patriotyzmu, uczył bohaterstwa i niezłomnej postawy wobec wroga. Nie jest to jednak film o przemijającej aktualności politycznej, dzięki ustawieniu postaci głównego bohatera zachował on wszystkie swoje walory wychowawcze, i wciąż oddziaływuje na widza z tą samą mocą i świeżością.

Premiera tego nieznanego u nas dotąd dzieła dostarcza wiele ciekawego materiału do przemyślenia. Oto mamy przed sobą piękny przykład filmu młodzieżowego, który nie tylko podoba się młodzieży, ale ją porywa, który ukazuje pociągającą swym urokiem i poezją, a jednocześnie nadzwyczaj realistyczną, przekonywającą postać pozytywnego bohatera młodzieżowego. Otóż to. Postać **pozytywnego bohatera młodzieżowego.** Tu leży sekret sukcesu dzieła Marka Dońskiego, tu też należy szukać przyczyn naszej słabości zarówno w odniesieniu do powieści, jak i filmu młodzieżowego.

Zacznijmy od filmu, który próbował już to zagadnienie rozwiązać, nie osiągnął jednak w pełni zadowalających rezultatów. Ani Tomek Spojda z „Pierwszego startu", ani tym bardziej drugoplanowy Bronek Kruk z „Załogi" nie stanęli na wysokości zadania. Wprawdzie sylwetka Spojdy była bardzo sugestywna i miała w sobie wiele elementów młodzieńczej szczerości i bezpośredniości, w ogólnym bilansie nie dorastała jednak do miary reprezentanta naszego nowego pokolenia.

Film nasz nie sięgnął również dotąd do najbardziej trudnego, ale jednocześnie najbardziej bohaterskiego okresu walki z okupantem, w którym nie zabrakło i u nas postaci na miarę Pawki Korczagina. Takie nasze filmy o tematyce okupacyjnej, jak „Zakazane piosenki", „Stalowe serca", „Za wami pójdą inni", „Dom na pustkowiu", czy „Miasto nieujarzmione" jedynie marginesowo albo wcale nie dotykały zagadnień życia i walki młodzieży.

A literatura? Czyż „Pokolenie" Bohdana Czeszki nie daje nam bogatej galerii postaci bohaterów młodzieżowych, z których prawie każdy może być wzorem i przykładem dla naszej młodzieży? Niewątpliwie tak, jednak bohaterowie Czeszki nie zostali dostatecznie i bezpośrednio zbliżeni do czytelnika, jednak żadna z tych postaci nie dominuje nad całością utworu, nie wysuwa się na czoło, a tym samym nie jest w stanie przede wszystkim na sobie skupić uwagi literackiego odbiorcy. Czeszko z drapieżną, młodzieńczą pasją ukazuje środowisko, ukazuje szeroki kolektyw walczącej młodzieży, w którym wszyscy jego członkowie są równie ważni i na swój sposób wielcy. Z równym zainteresowaniem i zachłannością śledzimy losy Stacha i Jurka, Davida i Giny, Szermentowskiego i Jasia Krone. Pierwszoplanowe postacie Stacha i Jurka są wprawdzie pełniejsze, bardziej rozbudowane i pogłębione psychologicznie, nie są jednak bardziej sugestywne od drugoplanowych, lub wręcz epizodycznych (np. Halina zamęczona przez gestapo).

Nie chodzi tutaj o ocenę „Pokolenia", które niewątpliwie jest książką dużej miary i na pewno przejdzie do historii naszej literatury. Pociąga nas ona i porywa doskonałą atmosferą walki, ostrością spojrzenia na niedaleką przeszłość, bogactwem i różnorodnością ukazywanego środowiska i konfliktów, nie stwarza jednak wyraźnie zarysowanej, łatwo utrwalającej się w pamięci czytelnika, zakrojonej na wielką miarę postaci pozytywnego bohatera młodzieżowego. Wciąż brak nam jeszcze w literaturze i filmie polskiego Korczagina, mimo że pierwowzorów na taką postać nie brak ani w powieści Czeszki, ani w naszej pięknej przeszłości młodzieżowego ruchu rewolucyjnego, że wymienimy tylko Hankę Sawicką i Janka Krasickiego, nie brak ich również we współczesnym naszym życiu: w hutach, fabrykach, na budowach.

Stworzenie takiej postaci nie jest zadaniem ani łatwym, ani prostym. Wydaje się, że „Pokolenie" Czeszki w znacznym stopniu przygotowało grunt do jego wykonania, że dało niejako szkice, na podstawie których malarz będzie mógł opracować swoją wielką kompozycję — być może tym malarzem będzie sam Czeszko. Zanim jednak to wielkie zadanie będzie wykonane spójrzmy jeszcze raz na sylwetkę Pawki Korczagina — z tego wzoru możemy się wiele nauczyć.

Jakie są najbardziej charakterystyczne cechy Korczagina w filmowym ujęciu reżysera Marka Dońskiego?

Wydaje się, że bardzo zasadniczą sprawą jest w tym wypadku centralne ustawienie postaci, oraz uczynienie z niej głównego nosiciela idei utworu. Dzięki takiemu ustawieniu wszystkie inne postacie i wątki wspierają i wyolbrzymiają sylwetkę bohatera, potęgując tym samym wagę i znaczenie reprezentowanych przez nią treści ideologicznych. Korczagin Dońskiego dlatego jest tak przekonywający, że film zrobił wszystko, żeby całą uwagę widza skupić na nim, a jednocześnie uczynił zeń ucieleśnienie wielkiej idei formowania się i wzrostu nowego, rewolucyjnego pokolenia komsomolców.

Droga rozwoju Pawki Korczagina, pokazując narastanie świadomości klasowej wśród młodzieży, wiąże się jak najściślej ze sprawą partii, pod której przemożnym wpływem znajduje się bohater. Upartyjnienie tematu to trudne, a po mistrzowsku przez Dońskiego rozwiązane zagadnienie. Komunista Żuchraj podobnie, jak komisarz w „Czapajewie" jako przedstawiciel partii nie tylko reprezentuje siłę i wolę walki milionów ludzi radzieckich, ale przede wszystkim staje się wychowawcą i nauczycielem Korczagina, aktywnie oddziaływuje na przebieg wydarzeń i prze-

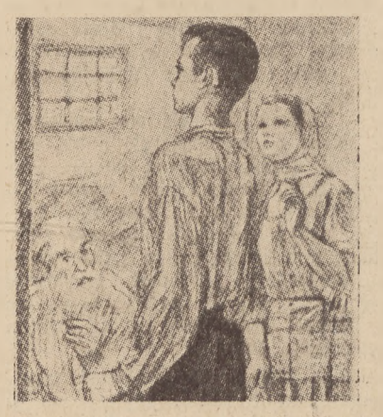

miany zachodzące w samym bohaterze. Idee, które przynosi Żuchraj, stają się własnością Korczagina, działanie Żuchraja staje się działaniem Pawki, w konsekwencji właśnie Korczagin jest głównym wykładnikiem decydującej roli partii.

Takie ustawienie sylwetki bohatera było nie do pomyślenia bez jak najbardziej bezpośredniego powiązania jego przeżyć i konfliktów osobistych z życiem społecznym, z historyczną rzeczywistością epoki. Perypetie Korczagina poczynając od pierwszej sceny, gdy poznajemy go jako posługacza w kolejowym bufecie, a kończąc na ostatniej, gdy w mundurze żołnierza Armii Czerwonej bierze udział w ataku na Szepietówkę, są ściśle związane i uwarunkowane rozwojem wydarzeń ogólnych, wiążą się nierozerwalnie ze sprawą zwycięstwa rewolucji. W ten sposób potęguje się zarówno emocjonalne, jak i ideologiczne oddziaływanie postaci.

Bardzo ważną rolę we właściwym ustawieniu przeżyć bohatera odgrywa szlachetność jego młodzieńczych uczuć (nie wyłączając miłości do To-

(Dokończenie na str. 5-ej)

*) „Jak hartowała się stal". Scenariusz i reżyseria: M. Doński. Zdjęcia: B. Monastyrski. Muzyka: L. Szwarc. Produkcja: Wytwórnia Filmów Fabularnych w Kijowie i Aszchabadzie 1942 r

TADEUSZ ORLEWICZ

O nieskrępowany rozwój handlu międzynarodowego

GDY czerwony sztandar wolności załopotał nad Berlinem, a potężna ormia japońska skapitulowała na polach Mandżurii przed Żołnierzem - Oswobodzicielem, nadszedł czas na odbudowę zniszczeń, na zaleczenie ran, zadanych przez działania wojenne i okupację, na likwidację straszliwych skutków wojny. Wydawało się w pamiętnych latach 45 — 46, że wielce pomocną może w tym okazać się ożywiona wymiana ekonomiczna pomiędzy krajami europejskimi.

Wszak w latach międzywojennych Europa Zachodnia pokrywała lwią część swego zapotrzebowania na węgiel, drzewo, jaja, len, chmiel itp. — importem ze Związku Radzieckiego i z dzisiejszych krajów demokracji ludowej. 60% importu kartofli i cyny do krajów zachodnich, 30% importu zbóż chlebowych, paszy, surówki żelaznej i ołowiu, 15% importu stali surowej, miedzi, tytoniu, cukru pochodziło ze Wschodu Europy.

A po wojnie właśnie Kraj Rad ruszył do nowego, jeszcze potężniejszego rozwoju budownictwa pokojowego. Nie tylko zostały całkowicie zaleczone rany, jakich żaden inny kraj nie odniósł czasu wojny w takim stopniu, ale rosły nowe fabryki i szło na pola więcej niż przed laty maszyn, rozwijała się w niedościgłym tempie produkcja przemysłowa i rolna. Równocześnie w krajach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej na bazie nowego ustroju ludowo - demokratycznego, podjęto na szeroką skalę odbudowę i rozbudowę potencjału gospodarczego, umożliwioną definitywnym pozbawieniem władzy, wpływów i posiadania krajowej burżuazji i jej zagranicznych wspólników-dysponentów.

I chociaż dla finansowej burżuazji Europy Zachodniej bezpowrotnie skończył się okres kolonialnej eksploatacji europejskiego Wschodu — ta właśnie potęga ZSRR i rosnąca siła gospodarcza krajów demokracji ludowej i ich nastawienie na szeroką wymianę ekonomiczną z zagranicą, stwarzały szczególnie dogodne możliwości ożywionego handlu europejskiego i współpracy gospodarczej, właśnie na nowych zasadach **pełnego równouprawnienia.**

„Podstawą naszych stosunków z krajami kapitalistycznymi jest stwierdzenie możliwości współistnienia dwóch przeciwstawnych systemów" — mówił Stalin. To twierdzenie stało się kamieniem węgielnym stosunków kraju zwycięskiego socjalizmu i krajów demokracji ludowej z krajami kapitału — **w imię dobra ludzkości, w imię pokoju.** W ciągu pierwszych lat powojennych ZSRR zgodnie z zasadami wyrażonymi przez Stalina, zawarł wiele układów ekonomicznych z szeregiem krajów kapitalistycznych.

W tym samym czasie pomiędzy krajami Europy Zachodniej a krajami demokracji ludowej zawarte zostały wielorakie umowy handlowe i inne porozumienia gospodarcze. Właśnie dzięki polskim dostawom artykułów żywnościowych do Anglii na rynku wielkobrytyjskim stępione zostało ostrze ograniczeń żywnościowych. Właśnie dzięki dostawom polskiego węgla Szwecja mogła utrzymywać swój wysoki stosunkowo poziom produkcji przemysłowej w zamian wysyłając do Polski poszukiwaną przez nasz szybko rosnący przemysł rudę żelazną.

I tak powoli nawiązywały się zerwane wojną nici wymiany wewnątrz-europejskiej wciąż jednak dalekie od rozmiarów handlu wymiennego z lat międzywojennych. Jeszcze bowiem w roku 1948 import krajów Europy Zachodniej z krajów wschodnio - europejskich nie przekroczył 1/3 rozmiarów tego importu sprzed dziesięciu lat, a eksport krajów Zachodu do ZSRR i krajów demokracji ludowej był nadal co najmniej o 40% mniejszy. Powstawały jednak możliwości rozbudowy demokratycznego fundamentu współpracy międzynarodowej, która zbliża narody pomiędzy sobą, która ułatwia wzajemną pomoc, prowadzi do utwierdzenia pokoju między narodami, przyczynia się do pokojowego rozwoju gospodarczego wszystkich krajów, likwiduje w zarodku montowanie nowej zawieruchy wojennej.

Ale już w roku 1949 i w roku 1950 i w następnych latach mamy do czynienia z wyraźnym kurczeniem się handlu wewnętrzno - europejskiego. Dziać się tak zaczęło wbrew oczywiście woli ZSRR i krajów demokracji ludowej.

✻

Owo kurczenie się wymiany wewnątrzeuropejskiej nie pozostaje w żadnym związku z potrzebami gospodarczymi Europy Zachodniej. Pozostaje natomiast w ścisłym związku z nieprzebierającym w środkach dążeniem amerykańskich kół rządzących do panowania nad światem oraz z szaleńczymi usiłowaniami uwolnienia systemu kapitalistycznego od kryzysu na drodze militaryzacji życia gospodarczego i montowania nowej zawieruchy wojennej. Plan Marshalla przyniósł krajom Europy Zachodniej pozbawienie ich suwerenności gospodarczej. Pakt północno - atlantycki, plany: Schumana i Plevena, rozkazy dyktowane na konferencjach zbrojeniowych w Ottawie, w Rzymie czy ostatnio w Lizbonie, wpędziły kraje zachodnie w odmęty chaosu, katastrofy, bezprzykładnego zaprzedania interesów narodowych nielicznej grupie międzynarodowych handlarzy śmierci z ponurych gmachów nowojorskiej Wall Street.

Głód dolarowy zmusił kraje Europy Zachodniej do poddania się kolejnym obezwładniającym operacjom. Frank francuski czterokrotnie ulegał na rozkaz Waszyngtonu dewaluacji. W roku 1951 za jednego dolara trzeba było płacić cztery razy więcej franków niż w r. 1947. A przecież ów dolar z r. 1951 reprezentował zaledwie 50% wartości dolara z r. 1938. Rzecz jasna, że operacja ta była potrzebna po to, aby we Francji za amerykańskie towary Francuzi płacili znacznie drożej niż Amerykanie płacić mają za wywożone z Francji artykuły. Podobnie uległ dewaluacji funt sterling ,a z nim runęły na kolana przed dolarem waluty o świetnej ale bezpowrotnej przeszłości— 23 waluty krajów bloku sterlingowego. Rzecz jasna, że cała ta operacja była poważnym ułatwieniem dla dolarowej agresji wobec obezwładnionych wasali.

I USA starannie rozszerzyły zakres gospodarczej agresji. Już w r. 1948 wprowadzają w pełni w życie zasady dyskryminacyjne w handlu. Same podejmują kontrolę handlu międzynarodowego swoich wasali. Ustalają listę, obejmującą 1.700 pozycji wywozowych, która przewiduje, że nawet tak „strategiczne" artykuły jak kostiumy kąpielowe, pióra wieczne, a nawet olej rycynowy, nie mogą być eksportowane do ZSRR i krajów demokracji ludowej.

Zasada „powszechnego dostępu do źródeł surowcowych" w interpretacji USA wygląda w ten sposób, że z jednej strony wykupują surowce, z drugiej zaś, tam gdzie są poważnym eksporterem monopolizują rynek, przy tendencji utrzymania najwyższej ceny! Tak więc USA używają wszelkich środków ,aby obniżyć ceny np. na cynę, kauczuk, czy bawełnę, bo artykułów tych bardzo potrzebują, a wyśrubowują ceny na surowce, które mają do zbycia.

Brytyjski minister skarbu, Butler, musiał przyznać, że zapasy złota i dolarów w strefie sterlingowej spadły w ostatnim tylko kwartale ubiegłego roku aż o 935 milionów dolarów, a dalsze topnienie tych rezerw grozi całkowitym wyczerpaniem zapasów brytyjskich w najbliższym czasie. Jedną z podstawowych przyczyn tej katastrofalnej sytuacji jest amerykańska metoda zmuszająca Wielką Brytanię do przyjęcia w r. 1951 importu tej samej ilości towarów co w r. 1950 jednak za cenę o 1.400 milionów funtów sterlingów wyższą — zarazem ceny wywożonych do USA przez Wielką Brytanię artykułów wcale nie wzrosły, Francja zaś i Włochy zmuszone zostały do importowania zboża i węgla z USA po cenach dwukrotnie wyższych niż np. ceny eksportowe zboża radzieckiego czy polskiego węgla.

Ale Stany Zjednoczone posunęły się jeszcze dalej w stosowaniu coraz bardziej drastycznych dla gospodarki zachodnio - europejskiej zarządzeń. Dolarowa grabież przybiera stale na mocy. USA zrywają jednocześnie umowy handlowe z ZSRR i z Polską. Wielka Brytania na żądanie Waszyngtonu pogwałciła umowę handlową z naszym krajem, rabując równocześnie już zapłacone przez nas dwa tankowce, wybudowane w stoczniach angielskich.

✻

W konsekwencji obiektywne możliwości, jakie **stały i stoją mimo wszystko nadal** przed szeroką współpracą handlową pomiędzy krajami socjalizmu a krajami kapitału nie zostały zrealizowane. Mimo najlepszej woli stale okazywanej dla szerokiej współpracy i wymiany handlowej przez ZSRR i państwa demokracji ludowej tradycyjne więzy gospodarcze Zachodu ze Wschodem Europy zostały brutalnie przerwane wbrew interesom gospodarczym Wielkiej Brytanii, Francji i innych krajów burżuazyjnych, wbrew zresztą interesom dużego odłamu przemysłowców w samych Stanach Zjednoczonych.

O co tutaj chodzi. Nie ma żadnej wątpliwości, że chodzi tu przede wszystkim o całkowite zmonopolizowanie handlu zagranicznego wasali USA przez wielki, imperialistyczny kapitał amerykański, chodzi o całkowite wprzęgnięcie tych krajów w rydwan grożącej klęską samym Stanom Zjednoczonym gospodarki wojennej tego hegemona imperializmu. Stąd też prasa amerykańska wyraźnie pisze:

„USA doszły do tego, że sprawę wymiany handlowej między Wschodem i Zachodem traktują jako jeden z elementów zimnej wojny".

Chodzi wreszcie o to, że wszystkie środki dyskryminacyjne, które zakłóciły i osłabiły handel międzynarodowy, były wymierzone przeciwko krajom obozu socjalizmu, były wymierzone w ich rozwój gospodarczy.

„Dochodzą oni (mowa o imperialistach USA — red.), do niczym nieuzasadnionego wniosku, jakoby embargo szkodziło komunistom więcej niż naszym słabym sojusznikom"

— musiał napisać znany reakcyjny dziennikarz amerykański, Walter Lippman, który dalej stwierdza otwarcie:

„Jest to nieprawda i zdawać sobie będziemy z tego sprawę w coraz większym stopniu, chociaż zrozumienie tego nie przyjdzie nam z łatwością".

My zaś nie mamy i nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że tymi środkami dyskryminacyjnymi USA nie mogły osiągnąć i nie osiągną swego celu ani w stosunku do ZSRR ani w stosunku do krajów demokracji ludowej.

Mimo bowiem środków, rzekomo mających zahamować rozwój gospodarczy krajów socjalizmu w ZSRR w roku 1950 w wyniku wykonania pierwszej pięciolatki stalinowskiej przemysł budowy maszyn zaczął dawać 2,3 razy więcej produkcji niż w roku 1940, w roku 1951 globalna produkcja przemysłu budowy maszyn wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o dalsze 21%, w Polsce w roku 1951 produkcja przemysłowa wzrosła o 23,4% (przegoniliśmy Francję), w Czechosłowacji — o 14,9%, na Węgrzech o 30,1%, w Rumunii — o 28,7% itd. Oznacza to, że kraje obozu demokratycznego nie tylko zdołały odbudować swoją gospodarkę ale przekroczyły znacznie jej poziom przedwojenny. Oznacza to z kolei, że zasoby gospodarcze ZSRR i krajów demokracji ludowej są i wielkie i różnorodne, są tak wielkie i różnorodne, że dają rękojmię pomyślnego rozwoju na dziś i na jutro wbrew polityce dyskryminacyjnej USA, wielomilionowej gospodarce na przestrzeni od Łaby po Morze Żółte, od Oceanu Lodowatego po albańskie wybrzeże Morza Śródziemnego. Dziś nie ma ani jednej maszyny, ani jednego urządzenia technicznego, których nie mógłby wyprodukować nowoczesny przemysł radziecki. Mało tego. Nie ma takich wysokowydajnych, nowych, nieznanych przedtem wielkich maszyn i precyzyjnych narzędzi w krajach kapitału, jakie produkuje ZSRR. I ta wysokogatunkowa produkcja mogłaby się stać przedmiotem eksportu do krajów kapitału. O jej wartości może świadczyć to, że eksport radziecki do krajów demokracji ludowej stał się fundamentem budowy pomyślnego rozwoju gospodarczego, wyrażającego się wielkimi kombinatami włókienniczymi w Albanii, Nową Hutą, Wizowem i Żeraniem w Polsce, wielkimi hydroelektrowniami w Rumunii, kombinatami przemysłu ciężkiego na Węgrzech i w Czechosłowacji.

✻

Blokada stanowiąc element składowy wojennego programu USA bije jednocześnie w interesy kapitalistycznych państw Europy, bije w interesy Japonii, dla której naturalnym rynkiem korzystnej wymiany handlowej jest rynek chiński, bije w interesy krajów kolonialnych i zależnych na Dalekim Wschodzie, które w Związku Radzieckim widzą jedynego właściwego dostawcę urządzeń przemysłowych, bije wreszcie w interesy wielu przemysłowców USA, tych przede wszystkim, którzy nie biorą udziału w zyskach koniunktury zbrojeniowej i mają poważne trudności ze sprzedażą swych artykułów nawet po zniżonej cenie, nawet w ramach amerykańskich „planów" pomocy Europy i nawet w ramach słynnego ze swego cynizmu czwartego punktu programu Trumana w sprawie krajów zacofanych.

Istotnie nie trzeba głębszych dociekań, aby stwierdzić jak wiele złego przynosi przede wszystkim krajom Europy Zachodniej upadek handlu międzynarodowego, w szczególności zaś upadek handlu wewnątrzeuropejskiego. Dziś importuje się jedynie do krajów zwasalizowanych armaty i czołgi, US-army i kryzys. W zamian za tego rodzaju import monopoliści USA inkasują udziały i akcje w fabrykach i w bankach Zachodniej Europy. Nie można zaś ani armat ani czołgów zamienić na dolary, wypompowane z krajów zachodnio - europejskich słynną polityką dewaluacji franka i funta, przy jednoczesnym usztywnianiu cen na amerykańskie towary. W tym zamkniętym sztucznie obszarze dolarowej grabieży deficyt dolarowy pogłębia się zatem stale. Rząd Jego Królewskiej Mości musi anulować szereg zamówień w USA, przede wszystkim na węgiel, musi zrezygnować z wielu towarów, zamówionych w innych krajach. Musi mówić znowu o drakońskich „oszczędnościach", co oznacza w konkretnym przypadku nowe ogromne ciężary dla klasy robotniczej Wielkiej Brytanii. Rząd francuski musi zawiesić cały niemal import z wielu krajów podporządkowanych USA, bo te też żądają zapłaty w... dolarach. Na to kraje zainteresowane zapowiadają wobec towarów francuskich środki odwetowe. W tym zamkniętym obszarze zaczyna się wojna ekonomiczna wszystkich przeciwko wszystkim, wnosząca dalszą tylko ruinę i dalszy chaos do gospodarki narodowej poszczególnych krajów „jednolitego" obozu imperialistycznego.

✻

W tych to warunkach zbliżająca się **Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza w Moskwie** staje się dla wszystkich kół gospodarczych Europy Zachodniej i Azji bardzo ważnym wydarzeniem, ponieważ zapowiada omówienie na szerokiej płaszczyźnie dyskusyjnej spraw **wznowienia stosunków handlowych krajów kapitału z krajami socjalizmu,** spraw istotnego znaczenia dla wielu przemysłowców zachodnio-europejskich, dla całej gospodarki tych krajów i **dla utrwalenia pokoju.**

Wszak w wytworzonej obecnie sytuacji kraje Europy Zachodniej pozbawione są najkorzystniejszych dla nich źródeł surowcowych i żywnościowych, których dostawcami są kraje Europy Wschodniej. W rezultacie spada i to szybko przeciętne spożycie na jednego mieszkańca w Europie Zachodniej. Narastają trudności finansowe krajów, które grzęzną w ogromny deficyt bilansu płatniczego, wyzbywając się jak W. Brytania swych rezerw, zaciągając nowe katastrofalne pożyczki. Dla przemysłu zachodnio - europejskiego zerwanie stosunków handlowych ze Wschodem Europy oznacza równocześnie utratę bardzo chłonnego rynku o dwóch niespotykanych na rynkach kapitalistycznych zaletach: nie znającego kryzysów i nieustannych wahań produkcyjnych, utrudniających specjalnie zbyt towarów gotowych. A przecież właśnie w eksporcie Anglii, Francji, Belgii czy Niemiec Zachodnich dominują wyroby gotowe (maszyny i nie tylko maszyny, ale tkaniny bawełniane i wełniane, medykamenty, barwniki, farby, przędza bawełniana, konserwy rybne itp.), których zbycie w zamkniętym obszarze dolarowym jest połączone z nieprzezwyciężonymi najczęściej trudnościami. Stąd też ogromny upadek przemysłu zachodnio - europejskiego, stąd wywodzi się jeden z elementów 45-milionowego bezrobocia łamiącego gospodarkę narodową wszystkich krajów kapitału.

✻

Oficjalne koła USA starają się pomniejszyć znaczenie przywrócenia poważnej wymiany handlowej pomiędzy Wschodem i Zachodem Europy. Boją się „podminowania" swoich wpływów w Europie. Ale inaczej myślą szerokie koła gospodarcze Europy. O tym „podminowaniu" wpływów USA w Europie mówią same fakty, które wskazują aż nadto jaskrawo jak bardzo zapada się grunt pod nogami US-manów właśnie na skutek samej polityki imperializmu amerykańskiego. O istotnej wadze przywrócenia poważnej wymiany wewnątrz-europejskiej mówią przecież dobitnie fakty i cyfry. I konkretna rzeczywistość sprawia, że wbrew usilnym staraniom USA Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza w Moskwie staje się centrum zainteresowania w Europie i poza Europą. 450 delegatów z różnych krajów zgłosiło już w niej udział. Sprawa konferencji nie schodzi z łam prasy krajów kapitalistycznych. Przynosi bowiem ona realną możliwość naprawy obecnej sytuacji w obszarze wymiany wewnątrz - europejskiej i wymiany światowej. Stanie się poważnym wkładem w walkę przeciwko amerykańskiej kontroli nad handlem międzynarodowym, którego rzetelny rozwój oparty o suwerenność państw kontrahentów stanowi obiekt zainteresowania wszystkich, którym sprawa Pokoju i Dobrobytu świata leży na sercu.

Tadeusz Orlewicz

JÓZEF RURAWSKI

DWIE DATY HISTORII

UKAZAŁY się niedawno ponowne nakłady książek Vladimira Poznera: „Ostrze włóczni" *) i „Szlakiem klęski" **). Jakie walory zapewniają im tak niesłabnącą popularność wśród czytelników polskich? Postaramy się na to odpowiedzieć w toku recenzji.

Lata 1919—20—21 to okres zaciętej walki młodej republiki radzieckiej z kontrrewolucją wewnętrzną i interwencją obcą. W walkach tych niezmiernie doniosłe znaczenie posiadał front wschodni i teren Dalekiego Wschodu. Interwencja japońska, na usługach której znajdowali się biali generałowie Siemionow i Ungern, trwała aż do 1922 roku. Dzieje walki na Dalekim Wschodzie, to temat pierwszej z książek Poznera „Ostrze włóczni". *„Nie jest to powieść historyczna. Autor, który wiele rzeczy odtworzył i niemało... wymyślił, zadaje sobie nawet pytanie, czy to jest w ogóle powieść"* — pisze o książce Pozner. Główną postacią tego utworu jest biały dowódca dywizji, „krwawy generał", baron Ungern, traktowany przez imperialistów japońskich, jako „ostrze włóczni", skierowanej przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Niezmiernie ciekawa jest kompozycja książki. Obok zasadniczej fabuły, autor ukazuje nam niejako proces powstawania powieści historycznej, swoje trudności i przeżycia twórcy. Rzecz bowiem przedstawia się następująco. Od jednego z przyjaciół otrzymuje Pozner propozycję napisania biografii jakiegoś awanturnika 20-go wieku. Wybór Poznera pada na barona Ungerna. Rozpoczyna się poszukiwanie materiałów. Autor opowiada w początkowym stadium pracy, jak sobie wyobraża postać Ungerna, jego wygląd zewnętrzny, upodobania, zwyczaje itd. Pisze o żmudnej pracy przygotowawczej, jaką jest zbieranie materiałów, dokumentów i innych wiadomości o bohaterze. Zarazem jednak powoli wyłania się postać Ungerna jeszcze nie sprecyzowana, dopiero zarysowująca się. Widzimy go w opisach jego krewnych, jako małego chłopca; poznajemy go z dokumentów i faktów często sprzecznych ze sobą. I wreszcie, po takim przygotowawczym wstępie, rysującym także tło lokalne powieści, rozpoczyna się sama akcja. I tutaj postać Ungerna wyodrębnia się wyraziście. Akcja nabiera tempa i żywości. Mamy więc możność obserwować Ungerna w szeregu ciekawych i skomplikowanych kompozycyjnie i psychologicznie wypadków. Wiemy, dlaczego nazwano Ungerna „krwawym generałem"; rozumiemy jego wybujałą ambicję, która nie pozwala mu dostrzec, że jest tylko zależnym „ostrzem włóczni" w rękach imperialistów japońskich i doprowadza go w końcu do nieuniknionej i zasłużonej klęski. Oddziały Ungerna buntują się, on sam zostaje schwytany przez żołnierzy Armii Czerwonej, postawiony przed trybunał rewolucyjny i skazany na śmierć.

Charakterystyczne i niezmiernie ciekawe jest to, że autor, który sympatią i przekonaniami znajduje się po stronie Armii Czerwonej, ukazał walkę na Dalekim Wschodzie właściwie z punktu widzenia strony przeciwnej. Znajdują się tam jednak fragmenty mówiące o walce „czerwonych partyzantów" i inne, które pozwalają autorowi zadokumentować zupełnie wyraźnie swój pogląd na sprawę. Jest to niezmiernie odważny eksperyment, który udał się dzięki ideologicznej pozycji autora. Tylko pisarz, który poznał, zrozumiał i przyswoił sobie prawa rozwojowe rzeczywistości, który w walce klasowej zajmuje ściśle określone, postępowe pozycje, który uznaje i realizuje hasła partyjności, ideowości i tendencyjności literatury, tylko taki pisarz mógł zrealizować ten typ kompozycji, nie dopuszczając do skrzywień ideologicznych i artystycznych.

W wielu momentach, dzięki umiejętnemu wykorzystaniu opisanego zabiegu kompozycyjnego, autor osiągnął dużą sugestywność w przedstawieniu rozkładu i ideowej słabości „białej armii". Ciekawy i charakterystyczny dla tego rozwoju „dwustronnej" pozycji autora jest moment, w którym oficerowie Ungerna czytają numer „Prawdy", zgubiony przez łącznika partii komunistycznej. Oficerowie zabierają się do czytania z chęcią wyśmiania rzeczywistości radzieckiej, o której pisze „Prawda". Czytają list górników radzieckich do Lenina; piszą oni o swojej pracy w niezmiernie ciężkich warunkach *(„Pracując w wilgotnych, ponurych i ciemnych kopalniach, my obdarci i bosi, na pół zagłodzeni... wierzymy w to, że przyszłe żniwo komunizmu, którego siewcą jest lud pracujący...")*, podkreślając mocno, że pracują dla siebie i dla swej władzy. Biali oficerowie tracą humor, popadają w zadumę i zniechęcenie.

W „Ostrzu włóczni" Pozner dobitnie przedstawia przyczyny, dla których nieunikniona była klęska interwencji i „białej armii". Oto charakterystyka sytuacji na Syberii, gdy dowódcą wojsk został Kołczak: *„Generałowie wygłaszali mowy i zarządzali rekwizycje... Politycy... naradzali się nad datą wyborów do przyszłego Zgromadzenia Konstytucyjnego, gdzie... lud rosyjski miał... objawić swą własną wolę. Jeśli zaś chodziło o dokładne ustalenie miejsca, gdzie się ów „lud" znajdował — trudno je było określić. W armiach partyzanckich było około 120.000 ludzi, tyleż samo... w więzieniach i obozach, niektórzy dyndali powieszeni na słupach telegraficznych... Jeszcze inni zmobilizowani i wysłani na front, zdezerterowali... Niemniej gazety nie przestawały opisywać entuzjazmu tego „ludu" w czasie patriotycznych manifestacji. Podczas gdy lud manifestował, nieznani sprawcy wykolejali transporty wojskowe i pociągi z amunicją..."* Tak działał ów mityczny „lud", na który próbowali stawiać biali politykierzy. A jaka była sytuacja ich wojsk?

„Armia nie składa się wyłącznie z oficerów, a dziewięć dziesiątych żołnierzy, ze względu na swe związki rodzinne, zawód i pochodzenie społeczne nie miało... powodów pragnąć zwycięstwa. Wróg, który stał przed nimi nie był lepiej... ubrany, żywiony, uzbrojony.., lecz tam każdy bił się za siebie i za swoich, za miliony sąsiadów rosyjskich, japońskich i amerykańskich".

Oto odpowiedzi na pytanie, dlaczego Armia Czerwona musiała zwyciężyć.

✻

Czytając drugą książkę Poznera „Szlakiem klęski", przenosimy się do Francji 1940 roku. Jest to powieść o politycznej i militarnej klęsce Francji. Podczas jej lektury nie możemy powstrzymać się od ciągłych porównań: przecież to nasz wrzesień 1939 r. Istotnie, wrzesień w Polsce 1939 r. i lato 1940 r. we Francji mają wiele wspólnego. Ten sam rozkład burżuazyjnego dowództwa armii. Ucieczka sztabów i oficerów, bohaterstwo prostych żołnierzy, zamieszanie, zdrada, chaos, anarchia. Te porównania nie są wynikiem przypadku; klęska w 1939 w Polsce i w 1940 we Francji to skutek polityki rządów obydwu krajów, polityki faszyzacji. Cięgi, jakie dostała Francja w 1940 roku, nie wynikają z tchórzostwa żołnierzy. Żołnierze ci bowiem chcieli walczyć; jeśli do walki doszło, walczyli dobrze. Ale żołnierz, który dostaje inny typ karabinu, a inny magazynków karabinowych, który w walce widzi bezużyteczność takiej broni, musi sobie zadać pytanie: kto tu jest winien i kto za to odpowiada. Winę za klęskę Francji ponosi nie naród, ale „dwieście rodzin" francuskich kapitalistów i przemysłowców. Za klęskę odpowiedzialny jest sztab wojskowy, oficerowie, którzy myśleli tylko o sobie. Na dobitek oficerowie francuscy mieli odwagę i czelność, winę za klęskę zrzucać na Front Ludowy 1936 roku i jego politykę. Ludzie, którzy mogliby obronić Francję, którzy chcieli innej polityki rządu, w momencie niebezpieczeństwa nie znajdowali się na froncie. Siedzieli oni w obozach koncentracyjnych i więzieniach, bo byli zbyt niebezpieczni dla owych „dwustu rodzin". Członkowie nielegalnej Komunistycznej Partii Francji, którym udało się uniknąć więzienia, znajdowali się pod obserwacją policji.

W takiej sytuacji obserwuje czytelnik bohatera powieści Poznera, Caillola, szofera Dyrekcji Kontroli Uzbrojeń. Zmobilizowany w r. 1940, znajduje się pod nadzorem władz wojskowych i policji, jako niebezpieczny „wywrotowiec". To zresztą nie przeszkadza mu prowadzić pracy partyjnej w czasie częstych wyjazdów do fabryk i zakładów pracy. Nawiasem mówiąc, praca partyjna Caillola nie jest pokazana zbyt przejrzyście i jasno. Caillol — komunista, który z racji swojej postawy politycznej widzi nie tylko skutki, ale i przyczyny klęski Francji, upatrując je w układzie sił społecznych Francji przedwojennej — jest główną postacią książki. Obok zasadniczego wątku ucieczki z Paryża pułkownika Carvina, typowego oficera sztabowego armii burżuazyjnej, którego szoferem jest Caillol, mamy w książce kilka krzyżujących się ze sobą wątków.

W tej dziwnej ucieczce „szlakiem klęski", w anarchii i chaosie dzieją się rzeczy okropne i tragiczne. Panoszy się zdrada. Ta zdrada spowodowała załadowanie ciężarówek wojskowych niepotrzebnymi papierami, gdy fabryki wojskowe nie miały środków lokomocji do wywożenia naprawdę potrzebnych maszyn, żołnierze jednak spełniając rozkaz, przez pół Francji wiozą makulaturę, aby dopiero na końcu podróży przekonać się o bezużyteczności swego trudu. To odwaga i wola walki z najeźdźcą trzech żołnierzy, każe im ratować ostatni czołg batalionu, przeprawiać się z nim aż do Loary, gdzie rzekomo miała znajdować się linia obronna. Czołgi przecież, to rzecz, której Francja potrzebowała najbardziej — tak głosiły szumne afisze i odezwy. Fakt, że nie mogli walczyć, powodował troskę i cierpienie żołnierzy. Cierpienia zaś i troskę oficerów wywoływał brak karności i niesubordynacja: żołnierze nie zawsze raczyli salutować swym uciekającym w popłochu dowódcom, a nawet pozwalali sobie na niestosowne uwagi, czasami nawet grożąc oficerom.

Toteż dla oficerów wojna skończyła się z dniem podpisania kapitulacji. Powrócą do domów i będą mogli prowadzić stosunkowo spokojne życie, nie narażając się hitlerowskim władzom. Dla żołnierzy-patriotów zaś walka trwa nadal. Caillol gromadzi grupę kolegów i postanawia kontynuować walkę o wyzwolenie narodowe i społeczne. *„Wasz złom przekujemy na zwycięską stal"* — oto słowa Caillola kończące powieść.

Zdawało by się, że książki Poznera o tak różnej tematyce historycznej niewiele łączy. Jest jednak inaczej. Łączy je przede wszystkim w sposób oczywisty ideowa pozycja autora, która wskazuje mu najbardziej postępowy i rewolucyjny nurt społeczny w historii. Ale istnieją i bliższe łączniki między obydwoma utworami. W obydwu książkach bowiem został ukazany rozkład armii burżuazyjnej, w której jedynie oficerowie walczą i... uciekają w imię swoich interesów, a żołnierze stanowią mięso armatnie i cenę, za którą sprzedajne dowództwo osiąga swe cele. Tym armiom burżuazyjnym przeciwstawiona jest Armia Czerwona, w której nie ma sprzeczności między interesami dowódców i żołnierzy; *„ich mięśnie i sposób myślenia"* są takie same, a cel walki wspólny i wyraźny.

Zasługą książek Poznera jest to, że w momencie zaostrzonej sytuacji międzynarodowej, pokazując w sposób niesłychanie żywy i plastyczny dwie karty minionej historii, przypominają zarazem o „ostrzach włóczni", dziś także skierowanych przeciw krajom postępu. Zmuszają zatem czytelnika do wyciągnięcia wniosków i sformułowania ostrzeżeń na przyszłość.

Józef Rurawski

*) *Vladimir Pozner, „Ostrze włóczni", str. 315, PIW, przekład Marii Kureckiej.*

**) *Vladimir Pozner, „Szlakiem klęski", str. 365, PIW, przekład Marii Wisłowskiej i Bolesława Kielskiego*

Pawka Korczagin

(Dokończenie ze str. 4)

ni), oraz patos jego bohaterstwa. Właśnie dzięki tym cechom, jak również dzięki swojej szczerości, bezpośredniości i prostocie Korczagin stał się tak bliski i drogi młodzieżowej widowni. Pamiętajmy, że młody widz zawsze pragnie odnaleźć w bohaterze cząstkę samego siebie, marząc jednocześnie o wielkich czynach. Od autora zależy, czy tym wielkim czynem będzie bandycki napad, czy też szlachetne bohaterstwo w walce o najbardziej postępowe, rewolucyjne ideały.

Wydaje się również koniecznym zwrócenie uwagi na bardzo optymistyczne zakończenie filmu, w którym zawarte są dalsze perspektywy drogi rozwojowej bohatera. Jest to moment niezmiernie ważny, który szczególnie mocno oddziaływuje na młodego widza, utrwala w jego pamięci postać bohatera, pobudza do naśladowania.

Powyższe uwagi nie wyczerpują oczywiście analizy sylwetki Pawki Korczagina, nie wyczerpują również spraw związanych z zagadnieniem postaci pozytywnego bohatera młodzieżowego, chodziło jedynie o zebranie pewnych refleksji, które nieodparcie nasuwają się podczas oglądania filmu Marka Dońskiego. Nasz film i nasza literatura korzysta z doświadczeń radzieckich i zawdzięcza im bardzo wiele. Wydaje się, że w sprawie stworzenia postaci pozytywnego bohatera młodzieżowego na wielką miarę warto skorzystać z konkretnego przykładu, jakim jest bohaterski komsomolec Pawka Korczagin.

Czesław Petelski

SEWERYN SKULSKI

DO POLAKÓW W AMERYCE

Seweryn Skulski

CZYTELNIKOM „Wsi" oraz pism dla chłopów: „Gromady" i „Chłopskiej Drogi" znane są korespondencje i artykuły Seweryna Skulskiego. Jest on jednym z najaktywniejszych korespondentów chłopskich, odznaczonych przez Prezydenta Rzeczypospolitej. W twardej szkole życia w czasie lat spędzonych na emigracji w Ameryce, Seweryn Skulski uzyskał głęboką świadomość robotniczą nie tracąc kontaktu z rodzinnym środowiskiem chłopskim. Tam to właśnie, w Ameryce zostaje Skulski korespondentem prasowym, żeby użyć najwłaściwszego słowa: z powołania. Staje się „wieszczem" liberalnej, wolnomyślnej „Gwiazdy Polarnej" a następnie „Kroniki Tygodniowej". W piśmie tym powróciwszy po wojnie do kraju zamieszcza swe artykuły i wiersze, w których przesyła braciom i przyjaciołom amerykańskim prawdę o Polsce Ludowej i przez które odgrodzić ich pragnie od wrogiej, wojennej propagandy.

Wiersze Seweryna Skulskiego wchodzą niewątpliwie zwłaszcza w pierwszym okresie do historii t.zw. literatury ludowej, t.zn. kontynuują tę rzadko „samorodną", ale najczęściej amatorską twórczość literacką chłopów. Kiedy się mówi o niej w oderwaniu od czasopiśmiennictwa ludowego, na tle którego twórczość ta się rozwinęła, łatwo popaść można w błędy jakiegoś w gruncie rzeczy a-historycznego izolacjonizmu kulturalnego wsi. Tymczasem wiersze chłopów w dużej mierze towarzyszyły piśmiennictwu ludowemu, które miało w swej historii także prawdziwie radykalne karty. Można by zaryzykować twierdzenie, że wierszowana twórczość chłopów była pierwszą formą korespondencji chłopskich. W wierszach chłopi byli często agitatorami idej reprezentowanych przez pismo na terenie własnego środowiska chłopskiego. Również poezja Seweryna Skulskiego nosi cechy takiej poezji agitacyjnej i to wbrew pozorom. Pozory bowiem świadczyłyby o czymś odmiennym. Nie można nam jednak zapominać, że Skulski zaczynał tworzyć i tworzył dla środowiska emigracji amerykańskiej, że musiał znaleźć język, który by do tego środowiska sięgnął, że musiał wyrobić sobie wśród niego autorytet i rangę ich własnego pisarza i „wieszcza". Tę rangę w swoim środowisku Skulski zdobył. I teraz dopiero przechodząc od opisywania kraju ojczystego w dziesiątkach sentymentalnych młodopolszczyźnianych obrazów, mógł Skulski nawet we własnej świadomości przejść do społecznej agitacji, a wreszcie kuć i rozpalać ten płomyk miłości ojczyzny i poczucia klasowej krzywdy do zrozumienia prawdy o rewolucji, prawdy o Polsce Ludowej.

Wiersz do żony tu zamieszczony jest jednym z dawniejszych wierszy Skulskiego, wiersz jak to się mówi — osobisty. A jednak jakie w nim śmiałe i odważne przeciwstawienie się amerykańskiemu stylowi życia, jakie nowe, niemal socjalistyczne ujęcie problemu moralnego. W innych wierszach, które przytaczamy, Skulski wyraźnie już występuje jako propagator prawdy o nowej Polsce dla robotniczego środowiska emigracji polskiej w Ameryce. Przybliża im Polskę już nie tę tylko jak dawniej, pozostałą we wspomnieniu i więcej jeszcze we wrażeniach z lektury poezji — Polskę brzóz, mgieł, zalecanek na tle sielankowej przyrody, ale Polskę — spadkobierczynię idej Waryńskiego i Okrzei, Polskę budowy i odbudowy, Polskę, w której chłop czuje się współgospodarzem kraju, a krajobraz rodzinny nabiera nowych rumieńców życia i młodości. W wierszu „Wojenko, wojenko" nie czujemy ani nuty mdłego pacyfizmu, jest to wiersz o pokoju, ale też o walce, adresowany również do przyjaciół w Ameryce, tych, którzy tkwią w ośrodku podżegackiej polityki USA, tych, którzy mówiącemu o przemianach w Polsce odpowiadają jeszcze często: „bredzisz, kochany"...

Niech ten niewielki wybór wierszy Seweryna Skulskiego pokaże od nowej strony doniosłość działania korespondenta chłopskiego i robotniczego, tego, któremu dano pióro do ręki, aby mówił prawdę.

Obszerny, interesujący pamiętnik Skulskiego, jego niektóre korespondencje, artykuły i humoreski amerykańskie oraz najcelniejsze wiersze to swoisty dorobek pisarski, którym bardziej, niż zwykłym pamiętnikarstwem powinny się zainteresować nasze wydawnictwa.

Anna Kamieńska

POWSTALI

To tylko karli, tylko mali
Ci nie wierzyli, nie ufali,
Że już Waryński czy Okrzeja
Nie wstaną, nikła ich nadzieja.
Nie wstaną.

Choć lata biegły po kolei
Żyli wciąż w czynie i idei,
Choć bruki własną krwią mierzyli
Mocni nie padli a wierzyli
W to rano.

I oto wstali z krwi kałuży,
Żeby się znowu nam przysłużyć,
Naszemi usty się rozgościć
Pieśnią o Polsce i wolności,
Odnowy.

Dziś ich widzimy jak na dłoni,
W reformie rolnej są dziś oni,
Widzimy ich wielką ofiarę
Jak dawno z tym walki sztandarem
Ludowym.

Dziś są w wyścigu pracy owi,
Dziś w Polsce wolnej i ludowej,
W szczęśliwym jutrze są nadziei,
Oni zamęczyć się, idei
Nie dali.

Wielu Waryńskich i Okrzei
Szło w walce za lud po kolei,
Ich duch nas ku wolności szkolił,
Oni w narodu swego woli
Powstali.

WYRĄBANEJ BAGNETEM

Nie ma celu na Zachód
Ani na Wschód po kraje,
W odbudowie rozmachu
Pozdrawiamy się wzajem.

Odbudowa nam w troskach,
Od Wałbrzycha do Warmii,
Nasza ziemia piastowska
Wyżywi nas, wykarmi.

To nam celem i prawem
Wojnę wydać miast gruzom;
Niech kto wyżej rękawy
W lot zawija u bluzy.

Choć wysoko są chmury
My się pniemy bez dreszczu,
Rosną, rosną nam mury
Jak te grzyby po deszczu.

Dymią piece w okręgach,
Obu Śląsków i Łodzi,
Każdy jedno przysięga
Kto się z Polski urodził.

I że racja świat przyzna,
Racja mieć tę zaletę —
Strzec wolności ojczyzny
Wyrąbanej bagnetem.

HEJ DO KOŁA!

Do koła dziś, do koła
Poznaniaki, Mazury,
Polak dzisiaj się cieszy
Jakby złote miał góry.

Nie, nie złote to góry,
Ale w koło, do grona
Każda Polska dziś ziemia
Jest z macierzą złączona.

Olsztyniaki, Kurpiki
Razem cieszą się z nami,
Stare Gdańsko kochane
Dziś pod Polski skrzydłami.

Krakowiacy, dalejże
Naród przecie z was śliczny,
Opolana już z wami
Słup nie dzieli graniczny.

Hej! Kaszubi, hop z nami
Tacy jak wy nie leżą
My się śmiejem i cieszym
Żeście z nami, Macierzą.

Wy z nad Nysy i Odry
Razem ładnie, jedynie
Jeśli Polak z granitu
To go słychać w Berlinie.

Dziś się naszych ziem złoci
Szmat daleki, daleki,
Bo zaborczość krzyżacka
W łeb dostała na wieki.

Dziś patrzymy wesoło
W dni przyszłości idące,
Taka przyszłość przed nami
Taka jasna jak słońce.

I w zasobność urośniem
Bośmy sobie jedyni;
I Marysiom na wiana
Też się znajdzie coś w skrzyni.

I w komorach zapasy
Się nam wkrótce pomnożą,
Przecież huty nam dymią
Przecież siwki nam orzą.

Przecież bory nam rosną
Przecież płyną nam rzeki,
Przecież morze nam szumi
— Z wami, z wami na wieki...

Póki naszej młodzieży
Oczy iskrzą się w czynie,
Polska będzie nam rosła,
Polska nigdy nie zginie.

P Y T A N I E

Was w Utica, was w Toledo,
W Romie i Detroit, miłych,
Pytam jak ze starą biedą,
Jak tam jeszcze wasze siły!

Jak, kochani, tam żyjecie,
Jak się nasza trzyma wiara,
Czy się jeszcze trytujecie
Na piknikach i przy barach?

Jak przyjaciół krąg jedyny
Teraz jakie miewa losy?
Jeszcze widzę te łysiny
I czerwone widzę nosy.

Wszystko mi się w pamięć wwierca,
Wszystko z wami w dzień ostatni,
Ale widzę też i serca
I wasz uśmiech widzę bratni.

Rozstałem się; tak boleśnie
Z grona odejść miłych ludzi,
Może wielu z was już we śnie,
W którym nikt sie tu nie budzi.

Może z żyjących połowa
Żywot pędzi jak po grudzie,
Jednakowoż — tak czy owak —
Starzy, dobrzy, mili ludzie...

Jak wam życie tam umyka?
Czy w spokoju? wśród zamętów?
Stać was przecie, do piernika,
Na ten znaczek za pięć centów!

Takiej rady wam udzielam: —
Tylko dobrze to usłyszcie —
Do starego przyjaciela
Seweryna coś napiszcie.

To on za to was pochwali,
Bo to grzecznie jest i ładnie,
Nie bójcie się — Bierut, Stalin
Listu tego nie ukradnie.

On tu dojdzie w me zacisze,
A ja za to prześlę buzi;
Prawda, którą do was piszę,
Warta więcej niźli guzik.

Chyba rację mi przyznacie,
Bo się prawdę tak ocenia;
Więc witajcie, jak się macie?
Kończę już i do widzenia!

K R A J U!

Lata do Ciebie tęskniłem,
Marzyłem o Tobie lata,
Tam z dalekiego gdzieś świata
O szczyptę ziemi, o bryłę.

I oto Polsko kochana,
Nogami po Twoim łanie
Stąpam i serce mi płonie
Za noce, dnie i za rana,

Żem z Tobą, matuchno moja,
Mój skarbie walk i prac cnoty,
Po dniach mych marzeń, tęsknoty,
Po trudach życia i znojach,

Chodzę nogami własnemi,
Jak w lata minione młode,
I patrzę na Twą urodę
I miody ssię Twojej ziemi.

Cieszę się jak dziecko kwiatem,
Bom wrócił na twoje łono,
Tak mi jest tutaj przestrono
I każdy tutaj mi bratem.

W Twą przyszłość lud pełen wiary,
Ojczyzno, kraju kochany
Pańskie nie szumią dziś łany
Tu wszędzie chłopskie hektary.

Tak słońce jako i zorze
Narodu widzę i czuję,
Dla ludu górnik dziś kuje,
Dla ludu rolnik dziś orze.

Dla Ciebie kraju kochany
Wszystko by bracia oddali
Gdyby Cię zakuć znów chcieli
W magnacko-pańskie kajdany.

W POLSCE

Nie mamy jeszcze w Polsce miodu,
Ptasiego mleka jeszcze nie ma
Lecz nie dla panów rodzi ziemia,
Dziś ziemia rodzi dla narodu.

I losy to jeszcze nie złoto,
Bowiem chodzimy jeszcze boso,
Ale wierzymy przyszłym losom,
Ale wierzymy własnym potom.

Nie, nikt nam tego nie roztrwoni,
Co nasze własne to nam wianem,

Naród jest własnych potów panem,
I własne losy mamy w dłoni.

Uszczęśliwią się wsie i grody,
Już takie czasy nie daleko,
Będziemy mieli ptasie mleko,
Będziemy mieli słodkie miody.

Wiemy, że będą, wiemy kiedy;
Po żmudnej pracy i po walce,
Będziemy z miodu lizać palce
I z jaśniepańskiej śmiać się schedy.

ZIELENIĄ SIĘ NAM HEKTARY

Zielenią się nam hektary
nie panom,
Będzie chlebuś, będzie Kasi
na wiano.

I skowronek dla nas śpiewa
dni długie,
Wolny człowiek w wolnej Polsce
za pługiem.

Idziem w pole, nie tęsknimy
wieczora,
Bo na swoje nie na pańskie
jak wczoraj.

A chociaż się pot poleje
no, ale,
Nie na pańskie, na uciechę,
na bale.

Dziś, jak wczoraj, z krzywdą
nie płaczą —
Jutrzejszego szczęścia wolni
oracze.

I pod własne, z pól idziemy,
śnić strzechy.
Oj bogatą będziesz Polsko
w uśmiechy!

W OJCZYŹNIE

Nie potrzeba Kanady,
Nie potrzeba Panamy,
Sto lat można z okładem
Tu być chlebem pijanym.

Nie potrzeba tęsknotą
Żyć i bóle obliczać,
Nie potrzeba pod płotem
Jak za panów dziedziców.

Nikt nie będzie się spasał
Naszą pracą, nas dręczył,
Kościuszkowskich to haseł
Jaśniejąca dziś tęcza.

Wielka ludu dziś siła,
Wstała w czynie, zajadle,
Słychać kielnie i piły,
Śpiewy, młoty, kowadła.

Pracą wszędzie zawrzało,
Każdy kocha i wierzy,
Bo dziś Polska jak cała
Dla swych dzieci Macierzą.

Dobrobytu iść śladem
Możem życiem owiani,
Nie potrzeba Kanady
Nie potrzeba Panamy.

Pot nam glebę użyźni,
W byt żywota, byt długi,
My tu szczęście wykujem
Łomem, kielnią i pługiem.

Pot nam glebę użyźni,
Któż inaczej dziś powie:
Jakże miło w ojczyźnie
Naszej Polsce Ludowej!

WOJENKO, WOJENKO...

Wojenko, wojenko
Wiemy coś za pani,
Nie pójdą za panów
Chłopcy malowani.

My innego ducha
Dziś i innej wiary,
Gdy trzeba, pójdziemy
Za chłopskie hektary.

Aby w szczęściu żyły
Nam nasze prawnuki,
I żeby chleb miały,
Prawo do nauki.

Wojenko, wojenko
My dziś nie najemni,
Nie niemi jak dawno,
I nie tacy ciemni.

Cel życia widzimy
Jak na dłoni jasno,
Jeżeli pójdziemy —
Za ojczyznę własną.

Ażeby wolności
Zdobiły ją lata,
I żeby nie było
W niej pańskiego bata.

Ty na dawne cele
Wojenko, nie rokuj,

My kochamy pracę
I wielbimy pokój.

Tyś była dla możnych
I magnackich rodów,
My pragniem braterstwa
I zgody narodów.

Tyś tu panowała
Przy pańszczyźnie w grupie,
Kiedy pan był mądry
A my, ludzie głupie.

Wojenko, wojenko
Znamy twoje cele,
Ale się zmieniło
W Polsce teraz wiele.

Bracia nasi w kraju
Tobą się nie szczycą,
Naród został w Polsce,
Pany za granicą.

Że naród dziś włada
Ziemią polską naszą,
Dzwonią szabelkami
I tobą nas straszą.

Poty lać umiemy,
I Polskę budować,
Gdy ty nas zaczepisz
Nie będziem folgować.

PIEŚŃ ZJEDNOCZONEJ KLASY ROBOTNICZEJ

W szeregi idziemy gromadzkie
Z doświadczeń wczorajszych i złud
Nie będziemy już szli omackiem
My, zjednoczony lud.
I jeden cel nas woła,
Jeden — „Budujemy Polskę" — śpiew
Jeden jest sztandar, jedna wola
I jednakowe: pot i krew.

Sięga razem rzesza liczna
Po życie bez sfer i klas,
Stanie Polska Socjalistyczna,
Z woli ludowych mas.

Idziemy w jedności przeto,
Kto z ludem, ten nam brat
My partia — żelazo — beton,
My partia — narodu kwiat,
Z kopalni, huty i pola,
Miasto, osada i wieś,
Idziemy — narodu wola
Szczęśliwą Polskę wznieść.

Sięga razem rzesza liczna
Po życie bez sfer i klas,
Stanie Polska Socjalistyczna,
Z woli ludowych mas.

DO DOBREJ ŻONY

Zaczynam do cię mówić temi słowy,
Po latach, które tak szybko zleciały:
Czym kiedy, żono, z twojej dobrej głowy
Zdjął włosek mały?

Czym kiedy z tobą postąpił zuchwale,
Oboje równi, znojni i szczęśliwi,
Czym kiedy, żono, w złości mały palec
Na cię zakrzywił?

Gdym był daleko, tęskniłem z daleka,
Boś pomagała mi w noszeniu krzyża;
Czy nie ceniłem cię jako człowieka?
Czym cię poniżał?

Każdy dzień dobra przy tobie mnie uczył,
Jak mogłem zatem jakąś plamą rzucić?
Nie zatykaliśmy dziurek od kluczy,
Żeby się kłócić...

I nie powiodłem cię na mętne wody
I nie przekręcił ci fałszywie zdania;
Mówisz, że jestem tak dobry i młody
jak w dzień pobrania...

Na twoje ludzkie — ludzkiem odrzekł słowa,
A bolał więcej w twych niemych cierpieniach;
Czym kiedy wyszedł, nie mówiąc „Bądź zdrowa",
Lub „Do widzenia"?

Chcę dziś i jutro, w ostatniej godzinie
Mego żywota szukać uczciwości,
Może ci spłacę chociaż odrobinę
Twych życzliwości...

Już mnie nic więcej nigdy nie zbogaci,
Gdy razem z tobą życie płynie łódką,
By za urodę ducha ci zapłacić —
Życia za krótko!

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„Stałam się jednym z ogniw tego życia"

(Uwagi z zakresu organizacji kultury na wsi)

Mam przed sobą kilkadziesiąt opisów życia kulturalnego gromad z różnych stron kraju. Nie brak żadnego chyba województwa.

KULTURA „NA WYNOS"

Młody, niedoświadczony nauczyciel przyjeżdża na „zapadłą" wieś. Pan inspektor zapewnił go o łagodnym i zdrowym klimacie, przypomniał o konieczności nadsyłania sprawozdań i w ten sposób wyposażony nauczyciel wyruszył w teren. Następują z kolei takie zazwyczaj stadia rozwojowe w pracy świetlicowej, do której nasz bohater z miejsca się zabiera:

1. Walka o lokal, jeżeli go dotąd w gromadzie nie było. Nasz organizator bierze do ręki młotek — przybija obrazy, zbija stół i krzesła, reperuje okna. Nabiega się przy tym niemało po rozmaitych gromadzko-gminnych instytucjach, ale ostatecznie notuje z dumą: „Świetlica przybrała nareszcie odświętny wygląd".

2. Walka o uczestników świetlicy. Tu rozpoczyna się dramat. O ile bowiem trudy pierwszego etapu zwracają się nieraz z nawiązką, o tyle ten okres jakże często jeszcze bywa zmarnowany. Dlaczego? Przecież uczestnicy jacyś zawsze się znajdują i co więcej— zdobywają nagrody.

Ale jacy? Mam przed sobą kilkadziesiąt opisów prac kulturalnych i dam konia z rzędem temu, kto w nich znajdzie **starszych** chłopów jako **aktywnych członków** świetlicy. Jeżeli — to jedynie w roli widzów.

„...możemy stwierdzić — czytamy w wypowiedzi Starczewskiego Zygmunta — że zajęcia kulturalno-oświatowe na wsi należycie spełnią swe zadanie, o ile znajdziemy wspólny język **z młodzieżą szkolną i pozaszkolną** i należycie te zajęcia poprowadzimy".

A więc młodzież i tylko młodzież. Rezultat zaś często bywa taki, że robota się rozkleja. „ZMP starał się zawsze włączyć w dzieło kultury — notuje Struzik Leonard — jednak udział ten był zależny **od przypływu i odpływu członków** w danym środowisku. Często ZMP-owcy wyjeżdżali, co utrudniało pracę". A świetlica należy do gromady. I gdy korzeniem jej są „starzy", owocem, który często się odrywa — młodzież.

3. Walka o formy pracy świetlicowej. I tutaj szlachetny trud i szczery zapał bywa — że w dużej mierze idą na marne. Oto muzykalny nauczyciel bierze do ręki skrzypce i wabi nimi, niczym dźwiękami zaczarowanego fletu — przyszłych świetliczan. Zbiera się zrazu nieliczna, później większa grupa młodzieży, niemuzykalni odpadają — powstaje chór. Od niego prowadzi droga do zespołu dramatycznego, a ten pogardziwszy ludźmi z rodzinnych stron, przygotowuje się pilnie, a w tajemnicy **do festiwalu** i rzeczywiście zdobywa niekiedy uznanie w wojewódzkim mieście, czasem nawet w samej stolicy. Na miejscu występuje niezwykle oszczędnie — na rocznice narodowe, w czasie uroczystych akademii i obchodów.

Miejsce podchmielonych muzykantów i „florianowych rycerzy" zajmuje zespół instrumentalny, chór wyeliminował pijackie śpiewki, za sprawą młodych, chłopski widz silniej przeżywa święto klasy robotniczej, wyzwolenia, czy rocznicę Rewolucji Październikowej. Ale równocześnie jakże smutny wyda się powszedni dzień, jeżeli życie świetlicowe toczy się wyłącznie od rocznicy do rocznicy? I w tym wypadku nie da się inaczej powiedzieć — nawet oklaskiwane zespoły świetlicowe bywają od masy chłopskiej oderwane, w czym przypominają takie redakcje, które jako jedyną koncepcję pisma przyjmują kwitowanie rocznic, urodzin, zgonów itp. Na cóż wskazują następujące słowa?: **„Teraz żyjemy tylko myślą, aby wyjść lepiej na tegorocznym festiwalu, niż w zeszłym roku".** Właśnie na szkodliwe, choć może przynoszące chwilowy zaszczyt oderwanie od problematyki gromadzkiego życia!

W POSZUKIWANIU PRZYCZYN ZŁA

Odmłodziliśmy znacznie kadrę nauczycielską na wsi. Przybyło tysiące pełnych zapału, oddanych sprawie rewolucji kulturalnej ludzi. Wystawmy sobie jednak położenie młodej, niezbyt jeszcze doświadczonej nauczycielki. Oto jedna z nich — Anna Kantor. Ma ona w pracy świetlicowej niemałe osiągnięcia. Zdołała skupić wokół świetlicy — jak się zdaje — całą młodzież, nie tylko szkolną. Wzbogaciła formy pracy. Obok zespołów artystycznych widzimy wcale dobre koło dyskusyjne czytelników książek. Młodzi czytelnicy dyskutują nad ideologią utworów literackich, nad ich wychowawczą użytecznością. Co dwa tygodnie odbywa się prasówka, poświęcona najważniejszym wydarzeniom w krajowej i światowej skali. Można więc mówić o regularnej, systematycznej pracy.

A jednak mimo tych niewątpliwych osiągnięć nie można powiedzieć, by cała wieś (Morzychna, pow. Dąbrowa Tarnowska) uczestniczyła w pracach świetlicowych. Brak nadal starszych. W czym upatruje kol. Kantor przyczyny niedomagań w pracy? Mówiąc krótko — w biurokracji, niedostatecznej, fałszywie rozumianej opiece ze strony powiatowych władz.

Cytujemy: „Jeżeli chodzi o pomoc nadrzędnych instancji ZMP to była ona żadna. Zastanawialiśmy się po co właściwie istnieje ten zarząd w powiecie. Nie było u nas przez długi czas nikogo. W końcu zjawił się. Zobaczył jak pracujemy, skrytykował, że praca nie **na poziomie (?)**, zarząd nic nie robi, jest zły, trzeba go od razu zmienić. Oburzyłam się na to. Chcieliśmy go po prostu wyrzucić za drzwi. Interweniowaliśmy w powiecie. Wtedy przyjechał przewodniczący. Zbadał sytuację, trochę pochwalił. Młodzież do niego ze swoimi żalami, że chcieliby mieć radioodbiornik (sieć radiowa była we wsi), więcej gier świetlicowych, a przede wszystkim więcej **instruktarzu**, bo często nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy na dobrej drodze. Obiecywał „złote góry" i więcej się nie zjawił, a w biurze się wykręcił. Przyjeżdżający na wieś instruktorzy robili się przeważnie bardzo „ważnymi" wszystko chcieli przewracać do góry nogami. Postępowali z nami **urzędowo**, wszyscy się mieli ich bać".

Oto jeszcze częsta sytuacja młodego i... osamotnionego nauczyciela, kiedy związek z powiatem ciągle mu się rwie, **a kontakt z terenem jeszcze nie dojrzał.** Pragnie rozbudować formy pracy świetlicowej, zbywa mu trochę na doświadczeniu, szuka więc pomocy u „góry". A czy ją zawsze znajduje?

Jak z rogu obfitości sypią się skargi na gminne i powiatowe władze. Mikitiuk Tadeusz z Brzezin (powiat Choszczno, woj. szczecińskie) narzeka na ZSCh — nie przydzielił odpowiednich materiałów na remont świetlicy.

„Związek Samopomocy Chłopskiej — pisze kol. Stoczek (gm. Rudnik, pow. Racibórz) — który jest opiekunem i inicjatorem znajdujących się świetlic, interesuje się nimi tylko wtedy, kiedy musi złożyć sprawozdanie. Pomimo najlepszych chęci, analizując pracę kulturalną na moim terenie — starałem się doszukać jakiejś formy życia kulturalnego wysokozorganizowanej i nie znalazłem... Będąc dłuższy czas członkiem GRN i egzekutywy Kom. Gm. PZPR mogę stwierdzić, że zarówno PZPR jak i GRN nie doceniają jeszcze pracy nad życiem kulturalnym wsi".

Trudno — rzecz prosta — bagatelizować sprawy technicznego wyposażenia świetlic, trzeba z oburzeniem piętnować biurokratów z GS-ów za niedostarczenie węgla i farby. I trzeba się w GRN domagać odpowiednich na świetlicę kredytów.

Ale jest w tym wszystkim coś niepokojącego. Można by mianowicie na dobrą sprawę wysnuć z tych skarg wniosek, że będzie zupełnie dobrze z organizacją kultury na wsi, jeżeli ZSCh dostarczy gwoździ, Wydział Oświatowy GRN odpowiednich fotografii do udekorowania świetlicy, powiat funduszów i sztuczek teatralnych.

Gdyby tak — mielibyśmy do czynienia raczej z przysłowiową „cesarsko-królewską" rewolucją kulturalną jak ludową. Zadekretowano by ją w stolicy, spłynęłaby w połowie na województwa, przeciekła wąskimi strumyczkami na szczebel powiatowy i wyschła nie dopłynąwszy do gmin i gromad. Przy takim rozumieniu rewolucji kulturalnej na wsi budowalibyśmy, jak w owej znanej z sanacyjnych czasów piosence — „mosty dla pana starosty".

„Nauczyciel na wsi ma kierować całokształtem życia kulturalnego, ma upowszechnić wszystkie rodzaje życia kulturalnego na wsi. Wywiązuje się ze swego zadania jak umie — pisze Stankiewicz Jan — robi co tylko zrobić potrafi. Ale czy nauczyciel mieszkający na zapadłej wsi — ma sam możność zobaczenia różnych form życia kulturalnego w Polsce i świecie? Przecież ten nauczyciel zaharowany przez cały rok często nie widzi filmu, odpowiedniego przedstawienia teatralnego, czy koncertu muzycznego. Nie bierze udziału w wieczorach dyskusyjnych, nie słyszy nigdy referatów naukowych..."

Nie przesadzajmy, nie jest tak źle. Ale, że przesadzamy — drodzy, niektórzy nauczyciele — tu się zaczyna wasz błąd. Źle z wami jest wtedy, gdy nie widzicie na „zapadłej wsi" tego, co samo rzuca się w oczy z nieodpartą siłą, co bez trudu można i trzeba zobaczyć — przeobrażające się masy drobno i średniorolnego chłopstwa!

Tempo rozwoju gospodarczego wsi aktywizuje coraz mocniej starych chłopów na gromadach, coraz więcej wyrasta aktywistów w kołach masowych organizacji, coraz częściej kadra gromadzka dorasta do funkcji nieoficjalnej rady na wsi.

Tam, gdzie akcje gospodarcze umacniają jedność gromady, gdzie włączają ją we współzawodnictwo, tam wszędzie robota organizacyjno-produkcyjna przerasta w kulturalną, staje się nowym dorobkiem wsi, wyodrębnianym w osobną instytucję, ale wspólną tak dla młodzieży, jak i dla starych.

Trzeba rozumieć logikę takiego rozwoju. Wtedy powiecie, jak kol. Wójcik Jadwiga. „Już po dwóch tygodniach weszłam w życie gromady i **stałam się jednym z ogniw tego życia".** Wtedy rozpoczniecie marsz do świetlicy tak, jak kol. Stanisława Dąbrowska. „Rozpoczęłam zawziętą walkę poprzez Gminny Komitet Partii **z niedociągnięciami różnych organizacji społecznych".**

Bo do świetlicy i życia kulturalnego na wsi prowadzi droga nie tylko bezpośrednia a zawsze również pośrednia, stalinowska, poprzez „nabywanie umiejętności wnikania w sprawy rządzenia krajem". Taka jest droga chłopów do kultury, taka i wasza z nimi. Ale o tym — szczegółowo — następnym już razem.

Wiesław Jażdżyński

TADEUSZ PAPIER

NA TARGOWISKU LUDZKIM

Rys. B. Kusak

HISTORIA biednego chłopa Mikołaja Ospy, który zabrał głos w dyskusji nad projektem Konstytucji, nie była znowu czymś nadzwyczajnym. Kiedy omawiano artykuł 58 projektu, określający prawo do pracy, Ospa opowiedział, jak to się sprzedawał w roku 1938 w pogranicznym miasteczku Praszce. Ospa tonął przed wojną w tej rubryce Rocznika Statystycznego, która wykazywała ilość zbędnych rąk do pracy na wsi. W Roczniku był jedną z suchych cyfr, podobnych do miliona innych. We wsi cyfra ta miała swój odpowiednik, swoje nazwisko i imię, swoje życie prywatne i swoją nędzę.

W 1938 roku Ospa miał 40 lat, był złamany i sterany życiem, brakowało mu połowy zębów, na głowie świeciła łysina. Ponieważ jest to portret rzeczywisty chłopa, tak, jak on wyglądał, przeto nie obawiamy się zarzutu przesady. Nie o to chodzi, aby wzbudzić u czytelnika litość do naszego bohatera. Ospa również, opowiadając o swoim czasie przeszłym, daleki jest od wszelkiego rozczulania. Jest w odpowiadaniu Ospy jakaś przesada, lecz ona wynika z nienawiści do tych wszystkich, którzy jego życie uczynili takim, jakie ono było.

Przed szesnastu laty Ospa błąkał się od chałupy do chałupy, od wsi do wsi, wynajmował się do pracy, był rzeczą, którą można było przesuwać i wymieniać. Od dziecka służył, potem ożenił się z taką, jak on, wyrobnicą, był wdzięczny, że wyszła za niego, bo we wsi przezywano go niedorajdą, i po ożenku dalej służył. Uprzytomnijcie sobie czterdzieści lat służby! Bez przesady czterdzieści, bo przecież najstarsze wspomnienie Ospy, to służba u bogatej ciotki, której pilnował gęsi, potem pasł bydło, a potem to już tak „szło, jak w sieczkarni: w kółko to samo, tylko coraz ciężej".

W miesiącu wrześniu 1938 roku, zanim Ospa stanął na placu targowym w Praszce, aby uzyskać zezwolenie na wyjazd do Niemiec „na Saksy", Ospa wykonał następujące prace: przez dziesięć dni z rzędu rąbał drzewo u bogatego chłopa Sikorskiego, trzy dni pomagał w orce, pięć dni od świtu do nocy młócił u Kalińskiego. Innych dni też nie przesypiał, zawsze był gdzieś zajęty. Myliłby się jednak ten, kto na podstawie tej krótkiej relacji wysnułby wniosek, że Ospa był rozrywany do pracy we wsi. Nie, statystyka nie myliła. Ospa był zbędny, Ospa narzucał się z pracą. Dawano mu w końcu to lub tamto.

„Takie życie, to nie życie, więc postanowiliśmy w domu, że pojadę na Saksy, bo zaczęto już o tym mówić".

Z Wróblewa do granicy było niecałe trzy kilometry. Teraz granica przesunęła się daleko, daleko, na zachód, tak że Wróblew leży prawie w środku Polski, ale przed wojną... Człowiek wyszedł z pługiem na pole i patrzcie, tam za tymi wysokimi drzewami o koronach szerokich, jak pierzaste chmury, ciągnie się inny kraj, obcy ludzie. Żeby jednak dojść do Praszki, pogranicznego miasteczka, gdzie odbywały się jesienne i wiosenne targi „na Saksy" trzeba było stracić trzy do czterech godzin. Powiedzmy, że można było sobie drogę skrócić. Ale z innych wsi mieli gorzej: chociażby ze Skolimowa. A z dalszych miejscowości, zza rzeki Warty, z Dziadaków, Działoszyna, Dylowa... Ile trzeba było się natrudzić!

Więc Ospa pewnego dnia pożegnał się z żoną, po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy niezdarnie pocałował ją w usta, aż się żachnęła ze zdziwienia. Nałożył plecak i poszedł. Było zimno, od zachodu dął wiatr, nisko przepływały chmury, gnały nad drzewami ciężkie, pierzaste jak wozy z sianem, wiatr je przerywał, rozrzucał siano po niebie. Ciężko było iść na tę wędrówkę! Czy za parę dni nie wypadnie wracać do domu? Jak się wówczas urządzić?

Szedł szybko polami, skracał sobie drogę na ukos. Oto już wyłoniły się dachy miasta, oto dał się słyszeć głos lokomotywy i od strony Wielunia ukazała się niewielka lokomotywa z czapą czarnego dymu. Niepokaźne wagoniki kolejki wąskotorowej wyglądały z daleka, jak zabawka dziecinna, ale Ospa uczuł skurcz w sercu, bo w każdym z tych wagonów jechało dziesiątki takich, jak on. Wkrótce pociąg znikł za kępą drzew i domami.

W tym miejscu składna dotychczas opowieść zaczyna się rwać. Ospa podnosi głos. Wyrywa mu się głośne przekleństwo. Ile ludzi napchało się wtedy do Praszki! Może trzy, może cztery, może pięć tysięcy! Kto zliczy? Twarze młode, stare, kobiety, dzieci, mężczyźni, z tobołkami, plecakami, walizkami. Jak na jarmarku, ale gorzej jeszcze, bo wszyscy w jednej sprawie, ludzie przepychają się, klną, biją się, byle bliżej miejsca, gdzie urzęduje Niemiec, „Abram z Kluczborka", jak go nazywają. Ospa poprawia, że z Kreuzburga, ale ktoś krzyczy, że z Kluczborka, że to Niemcy tak przechrzcili polskie miasto.

Ospa znajdował się mniej więcej w środku długiego węża. Daleko było do miejsca, gdzie „spaśny Niemiec", w towarzystwie wieluńskiego starosty i urzędników celnych, okiem znawcy selekcjonuje podchodzących kolejno ludzi. Jednych Niemiec kiwnięciem ręki odstawia do transportu, „na Saksy", drugich, „wybrakowanych", jako nieprzydatny towar odrzuca z powrotem do domu, na wieś. Nad miastem unosi się nieopisany gwar i zgiełk, jakby na ulicach rozgrywała się krwawa bitwa. Pośród tej ciżby kręcą się różni złodzieje i mąciwody i czyhają tylko na okazje, upatrują ofiary. Do Ospy przystąpił nagle taki wygląnsowany typek, wąsiki podstrzyżone, oczka chytre, pewne, w zębach papieros.

— Ojcze! — uśmiechnął się porozumiewawczo. Ospa nachmurzył się i wcisnął się mocniej w szeregi. Ale typek przecisnął się bliżej i nie przestając się uśmiechać, podał mu wyszarzałą walizeczkę. Ojcze, potrzymajcie, ja, wiecie, muszę na chwilę, może się da co zrobić na boku... — ostatnie słowa wyszeptał mu do ucha.

Ospa odebrał niechętnie walizkę, i począł się na dobre niecierpliwić, kiedy typek zjawił się z powrotem. Załatwało od niego alkoholem. Wyjął z kieszeni papier, upstrzony pieczęciami i podając go ukradkiem Ospie powiada:

— Załatwiłem!

A Ospa spogląda na papier, widzi, pieczęć duża, okrągła, w środku orzeł. Ospa czytać nie umie, jednakże papier go oszołomił. Typek tymczasem odbiera walizkę i wysuwa się z szeregów. Idzie niedbałym krokiem. Ospa spogląda za nim, jak urzeczony. Ten obcy człowiek, który posiada już zezwolenie na wyjazd „na Saksy" wydaje mu się tak samo niezwykły i ważny jak ci panowie, polski starosta i niemiecki urzędnik, segregujący ludzi, od których zależy chleb dla tysięcy rodzin.

— Chodźcie, ojcze, załatwimy!

Ospa decyduje się szybko. Wychodzą z szeregów, obchodzą jakieś domy, typek każe tu Ospie zaczekać, a sam się ulatnia. Po chwili przychodzi z takim drugim. Ten dopiero umie gadać. Po paru minutach Ospa wypróżnia z węzełka wszystkie pieniądze. Dla siebie zostawia parę złotych. Ale tamci patrzą z pogardą na złotówki Ospy.

— Za to chcielibyście jechać? — pyta ten drugi i błyskawicznym ruchem porywa pieniądze. Ospa spostrzega naraz, że padł ofiarą oszustwa, szarpie się z „poręczycielami", wzywa pomocy. Ten drugi ucieka, lecz typek, popchnięty gwałtownie leży już na ziemi. Ospa dusi go jedną ręką, drugą okłada po twarzy. Typek jest dużo młodszy od Ospy, nie może jednak wyrwać się z jego uścisku, Ospie wydawało się, że trzyma w ręku swoje życie, swój los, swoje szczęście. Dostaje nagłe uderzenie w głowę, nad nimi stoi dwóch policjantów. Typek chce się wyrwać, probuje uciekać, ale Ospa ostatnim zrywem podkłada mu nogę i typek wali się na ziemię. Obu odprowadzają do aresztu. Nie pomagają tłumaczenia Ospy. Policjanci są głusi. Sytuacja wyjaśnia się dopiero nazajutrz, około południa.

Jednakże Ospa wyjechał na Saksy. Typek zdołał uciec z aresztu. Dzięki tej ucieczce przerwano badanie Ospy, od którego spuchła mu twarz, jak bania. Tytułem rekompensaty odprowadzono go honorowo „na punkt skupu". Kiedy pociąg unosił Ospę z innymi „szczęśliwcami" w głąb Rzeszy starosta wieluński, wysztywniony, pachnący świeżą wodą kwiatową, w wyprasowanych odświętnie spodniach, przemawiał na posiedzeniu Sejmiku Powiatowego: „Szczęśliwy jestem, mogąc stwierdzić, że aktualną stała się znów sprawa emigracji zbędnych w powiecie naszym ludzi i że w ten sposób pozbędziemy się przynajmniej części zbędnego elementu w liczbie 7.500 osób".

Była jesień, 1938 roku. A w dwanaście miesięcy później starostowie, wojewodowie, generałowie opuszczali w popłochu ojczyznę, zostawiając na łup żołdaków faszystowskich wsie i miasta.

✠

To taka była wypowiedź chłopa Ospy w czasie dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dziś Ospa ma gospodarstwo rolne niedaleko Kluczborka, jest przewodniczącym ZSCh i radnym w GRN. Syn kończy liceum. A z powiatu wieluńskiego pracuje na placach, gdzie wyrastają giganty i na Ziemiach Odzyskanych tysiące, tysiące chłopów. Spójrzcie, jak odchodzą coraz dalej w przeszłość nienawistne, upokarzające czasy niewolnictwa, kiedy za chlebem chłop stawał na targowisku, jak bydło, na sprzedaż. Dlatego też pomiędzy Ospą a dawnymi jego pracodawcami, którzy go wykorzystywali i spychali na dno nędzy, oraz takimi co i teraz by chcieli wykorzystywać, nie ma i nie może być porozumienia. Jest walka, aby tamte czasy nie powróciły.

Tadeusz Papier

LESŁAW BARTELSKI

PISARZE W TERENIE

NA drodze wzmagają się dzwoneczki sań. Zaczyna zmierzchać, samochód ciężarowy wyładowuje grupę ludzi z sąsiedniej gromady. Zewsząd schodzą się chłopi, siadając na ławach i pochylając głowy, ciemniejące rządem, jak pokos siana. Cichną rozmowy, gdy na trybunę wchodzi prezes koła ZSCh, witając przybyłych z Warszawy gości. Wychodzimy jeden po drugim, Bartelski, Kern i Kuśmierek, odczytując swoje utwory. Dyskusję zagaja sekretarz Organizacji Podstawowej w zwięzłych słowach nawiązując do projektu Konstytucji i przypominając art. 62 projektu. Mówi jeszcze ktoś, nie na tematy przeczytanej książki, lecz ogólnie, o sytuacji politycznej, o utwierdzaniu dyktatury proletariatu. Siedzimy wśród słuchaczy, śledząc reakcję sali; wstaję i mówię parę słów, zachęcając do wypowiadania się. Po mnie podrywa się Kuśmierek, zachęca, prowokuje, rzuca aluzyjne uwagi do zakładanego na wsi Komitetu. Milczenie. Z boku płyną szepty, o książce, o utworach przeczytanych przez nas i o nas samych. Ludzie trącają się łokciami, poszeptują, ale nawoływani do dyskusji — milczą. Na scenę wchodzi miejscowy chór, jak podkreśla jego kierownik, jest to jeden z dwóch zespołów, które utworzyły się na wiadomość o przyjeździe pisarzy. Śpiewają dwie pieśni, potem wychodzi harmonista, ucina krakowiaka, ławy uchwycone mocnymi dłońmi wędrują pod ściany, osiem dziewcząt rozpoczyna taniec.

Obok mnie siedzi kobieta w sile wieku, o siwych skroniach, referentka ZSCh ze Świdnicy. Jest trochę zawiedziona, chciała pokazać nam zabytki tego pięknego miasteczka, na co myśmy nie reflektowali. Wyjaśniam uprzejmie, że znamy Świdnicę, ja z pobytu tutaj na robotach przymusowych, Kuśmierek, jako dawny dziennikarz „Trybuny", organu KW.

Szykujemy się do wyjścia, choć jeszcze wysłuchaliśmy wierszyka, wypowiedzianego przez dziewczynkę z trzeciego oddziału i mimo to, że czekają nas występy zespołu Koła Gospodyń Wiejskich z sąsiedniej gromady. Spieszymy się do Dzierżoniowa, gdzie na wieczorze ma się odbyć dyskusja nad książką Czeszki pt. „Pokolenie", przekonani, że miasto powiatowe tłumnie zaszczyci salę miejscowego Domu Kultury. Podjeżdżamy nieco zdumieni ciszą, panującą w Domu, szukamy naszych kolegów. W małym pokoju, sekretariacie jednego ze Związku Zawodowych, przy biurku stoi Czeszko i czyta fragment swojej książki. Pod ścianą — 25 osób, jednym słowem klapa, nie mówiąc już o półtoragodzinnym opóźnieniu imprezy. Czyta Gaworski, z pomocą przychodzi Kern, odczytując swoje satyry. W dyskusji zgłasza się jakaś starsza pani i narzekając na samotność z rozczuleniem wspomina o pomocy, jaką w samotności niesie książka. Nie takich czytelników chcemy, zależy nam na młodzieży, inaczej pojmującej rzeczywistość niż samotne paniusie. Zamykając wieczór krótkim posłowiem Czeszko zwraca się do zebranych, których większość, to młodzież, apeluje, aby na przyszłość nie tylko przybyła sama na wieczór literacki, lecz, aby także przyciągnęła swych kolegów. Wracamy wściekli, w złych humorach, wspominając życzliwość wiejską, nam okazaną i obojętność — częściowo z winy organizatorów — „ludzi miasta".

Nazajutrz zjeżdżamy do Białego Kamienia obok kopalni „Thorez", gdzie wczoraj nasi koledzy: Morcinek, Mandalian i Lewin mieli swój wieczór autorski. W Szczawnie Zdroju park garbi się pod okiściami śniegu, mijamy uzdrowisko i krętymi wężownicami, niemal przytuleni do stoku porośniętego lasem liściastym, dojeżdżamy do Strugi. Droga rozciągnięta między skałami a strumykiem, że trudno minąć sanie, które z workami zboża podążają z GS-u ku miastu. Stajemy przed Domem Ludowym, wita nas prezeska Powiatowego Zarządu ZSCh z Wałbrzycha. Murowane piętrowe domy, pałac ukryty wśród drzew, stary kościołek z dzwonnicą, jak bramą, nakrytą drewnianym dachem. Pałac pochodzi z końca XVIII w., z tego okresu wywodzi się kościółek, wystawiony na stoku, odgrodzony kamiennym murem od zabudowań gospodarczych PGR-u. Pałac, widziany spod kościoła zastanawia swymi prostymi kształtami, choć z fasady, jakby mieszczańskiej kamienicy, wielookiennej, regularnej, wyłania się wieża z zegarem, wyrzynająca się nieco innym stylem. W pałacu: świetlica PGR-u, mieszkania pracowników sezonowych i zimno. Zacieki na drugim piętrze, murszejące ściany są alarmem, że budynek powinien być wykorzystany. — Miała tu być szkoła rolnicza — mówi jeden z oprowadzających nas.

Siedzimy w biurze Spółdzielni Produkcyjnej Struga. Mały pokoik powoli zapełnia się różnymi osobami, których zawodu usiłujemy się dorozumieć. Przy biurku inspektor CRS-u rozmawiający półgłosem z księgowym spółdzielni.

We wsi mieszka troszkę rodzin górniczych z „Thoreza", część zabudowań wchłania PGR, reszta podzielona jest między spółdzielnię a indywidualnych. Zresztą liczba tych ostatnich z każdym miesiącem topnieje. Jedni wchodzą do spółdzielni, inni udają się do miasta. O historii spółdzielni opowiada nam przewodniczący tow. Dobrzański. Osaczamy go pytaniami o wielkość areału, stan zasiewów, klasy ziemi, udział członków w pracy, o procent niewychodków (czyli takich, którzy do pracy nie chcą wychodzić), o oborę i stajnię, o pracę POM-u, wysokość dniówki obrachunkowej, zadłużenie spółdzielni itp. Kuśmierek sięga do bilansu, bada cyfry, nachyla się ku przewodniczącemu i pyta o poszczególne pozycje, które wzbudziły jego zastrzeżenia. Przewodniczący odpowiada spokojnie i rzeczowo. Zna doskonale stan gospodarki, niemal na pamięć operuje cyframi. Tow. Finkel uśmiecha się, słuchając naszych pytań. Potem dowiedzieliśmy się, że fachowość dyskusji wzbudziła zaufanie do naszej pracy pisarskiej. Ale czas kończyć rozmowę. Idziemy do świetlicy Domu Ludowego.

Olbrzymia sala, ze sceną, wypełniona ludźmi. Przyjechali samami lub samochodami z sąsiednich gromad, jest i zespół artystyczny pobliskich zakładów włókienniczych. Orkiestra wita nas marszem, poczem głos zabiera przewodniczący spółdzielni. Mówi krótko, witając przybyłych literatów, prezentuje każdego z nas, zrywają się oklaski i jeszcze raz oklaski na zakończenie przemówienia. Siedzimy w pierwszym rzędzie, dokoła nas zaciska się wieniec głów, co raz to ktoś pojawia się przy wejściu, gdzie największe zagęszczenie. W imieniu literatów witam zebranych, odpowiadając na przemówienie przewodniczącego, informuję o celu naszego przybycia do wsi, na koniec krótko przedstawiam się, jak wypada, w większym towarzystwie. Nawiązuję do własnych doświadczeń rolniczych z okresu wojny, o trudnościach z tym związanych; widzę na twarzach zaciekawienie. Odczytałem rozdział swojej powieści pt. „Ludzie zza rzeki", fragment obrazujący zabobon i postęp na wsi. Po niezawodnym występie Kerna, którego satyry zawsze wzbudzały śmiech, o trudnościach spółdzielni Marszowice i rozbijackiej roli Kocika, odczytał Kuśmierek fragment ze swego zbioru pt. „Uwaga, człowiek". Kuśmierka traktowano tu w Strudze, jak dobrego znajomego, podrzucone w czas dwadzieścia egzemplarzy jego książki spełniło swą rolę. W przeddzień naszego przyjazdu odbyło kolektywne czytanie, a potem dyskusję. Wyczuwało się to z każdego słowa dyskusji, jaka nastąpiła po wieczorze. Prawie sześciu mówców występowało zdając relację, i to trzeba szczerze przyznać, relację niebanalną z przeczytanej lektury. Dyskutujący nawiązywali do własnych przeżyć, potrafili wykazać zarówno indywidualnym gospodarzom, jak i sąsiednim gromadom, zmianę ustosunkowania się do spółdzielczości, z wrogiej postawy do wyrażającej żywe zainteresowanie, wspominali o tych, którzy głosili, że tam, gdzie przejedzie traktor, chleba nie będzie, a później jak sami zgłaszali się po pomoc do spółdzielni. Jeszcze przemówienie pożegnalne przewodniczącego...

Zgasło światło na sali a zapaliło się na scenie. Zespół wystąpił ze sztuką „Zaprzęgać konia!", śmiechu było co nie miara. I myśmy się śmiali, choć śmiech nasz był gorzki, pełen sarkazmu, że takie utwory propagują literaturę w terenie.

Kiedyśmy wyjeżdżali z leśnej ciszy w światła Wałbrzycha i rudą łunę nad miastem, jeszcze w uszach dzwoniły nam takty kapeli wiejskiej i serdeczne słowa pożegnania.

Ale my tu przecież znowu przyjedziemy!

Lesław Bartelski

Z prasy radzieckiej

Tematyka żołnierska

KRYTYKA nasza utyskuje często na brak powieści o wojsku polskim. Zapewne i masowy czytelnik żywi gorące pragnienie przeczytania książki o polskiej tematyce żołnierskiej. Chce znaleźć w uogólnieniu artystycznym odzwierciedlenie wielkich czynów wyzwoleńczych z lat ostatniej wojny, chce otrzymać w powieści obrazy nowego ludowego charakteru. Wojsko nasze jest siłą zbrojną nowego typu, służącą ludowi i wywodzącą się z ludu. To najmocniejsze powiązanie armii z ludem, wyzwolicielska, pokojowa rola naszego żołnierza — czekają jeszcze na swego piewcę.

Na czasie zatem będzie zapoznanie się z zagadnieniem tematyki żołnierskiej w literaturze radzieckiej. Radziecka literatura żołnierska jest bardzo obfita. Nie ma bodaj pisarza radzieckiego, który by nie pisał o bohaterskich obrońcach Kraju Rad. Powieść, dramat, opowiadanie, poemat, wiersz literacki, scenariusz filmowy — jednym słowem, różnorakie gatunki literackie służą sprawie pokazania żołnierza radzieckiego w bohaterskiej walce z faszyzmem.

Wielka Wojna Ojczyźniana zmobilizowała do bezpośredniego udziału, do szeregów żołnierskich całą rzeszę pisarzy radzieckich. Około ośmiuset pisarzy poszło na front, walcząc po żołniersku — w pierwszym szeregu. 242 już nie wróciło z pobojowisk, a wśród nich tak znakomici, jak Krymow, Pietrow, Gajdar, Stawski, Altauzen i inni.

Bezpośredni udział w zmaganiach z faszyzmem pozwolił literaturze radzieckiej odegrać doniosłą rolę. W pierwszej chwili trzeba było wesprzeć ramię walczące, wesprzeć ideowo i uczuciowo. Wyłoniła się potrzeba — jak w okresie wojny domowej — zastosowania tych gatunków twórczości, które naprędce, bezpośrednio chwytały przeżycia, oddziaływały i wspomagały. Więc: plakat z poetyckim tekstem, liryka, krótkie opowiadanie, trafny szkic publicystyczny, informacja dokumentarna...

Ale obok tych form oddziaływania powstawały także dalsze zagadnienia o olbrzymiej doniosłości: powszechna mobilizacja uczuć, wyrażenie w artystycznym obrazie ogromu ludowego patriotyzmu, przygotowanie psychiczne do heroicznych trudów i ofiar. Pisarz radziecki obserwuje pola walki i pobojowiska. Sumuje bohaterstwo radzieckiego żołnierza, przekazuje i wyraża zbiorowe oraz jednostkowe przejawy tego bohaterstwa. Ujawnia ideowość walki po stronie radzieckiej, miłość radzieckiej ojczyzny i niespotykany dotąd heroiczny patriotyzm. Jednocześnie pisarz radziecki demaskuje zwierzęce oblicze faszyzmu. Obnaża i potępia faszystowskie zbrodnie. Wyjaśnia, że tylko poprzez natężoną walkę do ostatniej kropli krwi można pokonać faszyzm i że tylko ta droga może ocalić ludzkość.

W związku z tymi zadaniami literatura radziecka na dalszym etapie wzbogaca swoje doświadczenia i pomnaża tematykę.

Walka na froncie i na tyłach. Terror pod okupacją. Partyzantka. Jednostka, rodzina i naród pod wpływem wojny wyzwoleńczej. Zagadnienie bohaterstwa, jako cecha radzieckiej klasy robotniczej. Znaczenie pracy dla frontu. Ofiara i heroizm. Jedność polityczno - moralna narodu radzieckiego. Patriotyzm — miłość radzieckiej ojczyzny i jej ideałów. Oto bogata, różnorodna tematyka, która trafiła pod pióro twórców.

Bujnie rozwija się liryka. M. Tichonow, K. Simonow, A. Twardowski, A. Surkow, P. Antokolski, A. Bezymienski i inni wyrażają przeżycia walczącego radzieckiego żołnierza. K. Simonow pisze głośny wiersz p. t. „Czekaj na mnie", który obiega wszystkie fronty i staje się wyrazem wiary żołnierskiej w zwycięstwo i powrót do domu. Obrona Leningradu rodzi takie poematy jak „Syn" P. Antokolskiego, „Kirow jest z nami" M. Tichonowa, „Blokada" Z. Szyszkowa, „Pamiętnik z marca" W. Inbier i inne. Największą sławę wśród mas żołnierskich zdobył poemat A. Twardowskiego p. t. „Wasyli Tiorkin". Autor dał w nim nasycony liryzmem a zarazem epickim humorem obraz prostego żołnierza radzieckiego.

Obronę Stalingradu i wielki przełom ostatniej wojny opisują: K. Simonow w „Dniach i nocach", W. Niekrasow — „W okopach Stalingradu", W. Grossman w „Szkicach ze Stalingradu" i inni. Nieugięty opór społeczeństwa radzieckiego pod okupacją stanowi treść „Młodej gwardii" Fadiejewa, „Dusz nieujarzmionych" B. Gorbatowa, „Ludzi o czystym sumieniu" Werszyhory. Heroizmowi żołnierzy poświęcone są utwory: B. Polewoja „Opowiadanie o prawdziwym człowieku", A. Beka „Szosa wołokołamska", W. Grossmana „Naród jest nieśmiertelny", I. Erenburga „Burzu". Zagadnienie wspólnoty ideowej i postawy jednostki wobec wojny poruszają w swych utworach: P. Pawlenko („Szczęście"), W. Panowa („Towarzysze podróży"), M. Bubiennow („Biała brzoza"). W zakresie dramatu najcenniejsze dzieła stworzyli: A. Korniejczuk, „Front", K. Simonow „Rosjanie", L. Leonow „Najazd".

Wielka Wojna Ojczyźniana uwydatniła najlepsze cechy ludzi radzieckich, wychowanych przez partię bolszewicką: patriotyzm, zdolność do poświęceń, bohaterstwo, nieulękłą odwagę, internacjonalizm i braterstwo, miłość i przywiązanie do wodza. Linia obrony, front walki przebiega wszędzie tam, gdzie trwa, czuwa, pracuje na posterunku każdy obywatel radziecki, tak żołnierz jak cywil.

Bitwa o Stalingrad, będąca przełomową datą w dziejach zmagań z faszyzmem ukazała najjaskrawiej życiodajną siłę patriotyzmu w Kraju Rad. K. Simonow w powieści „Dni i noce" oraz W. Niekrasow w książce „W okopach Stalingradu" uwiecznili postacie żołnierzy — bohaterów, jakich nie znały dotąd dzieje świata. Simonow i Niekrasow pokazują wielkość prostych ludzi radzieckich, którzy walczą bohatersko, lecz uważają swój heroizm za coś naturalnego, za zwykłe spełnienie obowiązku. Ale bohater „Dni i nocy", dowódca batalionu Saburow, wie, że nie jest sam; wraz z jego batalionem broni Stalingradu cały Kraj Rad, wszyscy ludzie radzieccy. To przeświadczenie dodaje obrońcom Stalingradu niezwykłego hartu i nieodpartej wiary w zwycięstwo.

Droga zwycięstwa zaprowadziła do Berlina. A. Gonczarow w powieści „Chorążowie", E. Kazakiewicz w „Wiośnie nad Odrą", wreszcie I. Erenburg w „Burzy" ukazują żołnierzy radzieckich, jako wyzwolicieli i chorążych sprawiedliwości społecznej. Ci żołnierze niosą uciemiężonym narodom wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego, rozbijając wielowiekowe okowy ucisku feodalnego i kapitalistycznego. Na ziemie wyzwolone przychodzą, jako nosiciele socjalistycznej sprawiedliwości. W powieści Gonczarowa kołchoźnik ukraiński Choma Chajecki prowadzi długie rozmowy z Rumunami, Węgrami, Czechosłowakami. Uczy ich, jak należy budować nowe życie. Bo nie jest mu obojętne, jakie porządki będą panowały na ziemi, dla wyzwolenia, której przelewał swą krew. Tak też myślą inni żołnierze: ich zwycięstwo to zwycięstwo ludu, triumf pokoju.

„Nasza republika — powiedział Erenburg — zrodziła się ze słowami: pokój światu. Słowa te pozostały jej zawołaniem".

Dobiegła kresu wojna, ale nie skończyła się rola bohaterskich żołnierzy radzieckich. Walczą o pokój. To słowo przynieśli na ziemie wyzwolone spod jarzma hitlerowskiego i treść tego słowa wypełniają swym codziennym przykładem.

Dziesiątki tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy radzieckich stają przy warsztatach pracy, odbudowują kraj — i ta praca utwierdza dzieło pokoju. Wzbogaceni doświadczeniami Wojny Narodowej byli żołnierze bronią owoców swego wielkiego zwycięstwa, gotowi przeciwstawić się każdej próbie imperialistycznej agresji.

Jest rzeczą ciekawą, że przeżycia z lat Wielkiej Wojny Narodowej ukształtowały wielu pisarzy. Wielu żołnierzy weszło do literatury radzieckiej, jako autorzy poczytnych książek, chociaż przed wojną zatrudnieni byli w rozmaitych zawodach, dalekich od literatury. Gonczar, autor głośnej trylogii „Chorążowie", poszedł ochotniczo na front wprost z sal wykładowych uniwersytetu w Charkowie. Werszyhora był reżyserem i pracownikiem filmu. Również z cywila przyszedł do armii Michał Aleksiejew, autor tłumaczonej obecnie na polski język powieści pt. „Żołnierze". Leningrad dał całą grupę pisarzy, którzy dopiero pod wpływem wojny zaczęli pisać, jak Koczietow, Grudinina, Orłow, Czełpurow, Diemianow, Botwinnik, Rink. W wojsku zaczęli pisać: Worońko, Szporta, Bakowikow, Fiedorow.

Ostatnio prasa radziecka w związku z trzydziestą czwartą rocznicą powstania Armii Czerwonej przeprowadziła podsumowanie literatury o tematyce żołnierskiej. „Litieraturnaja gazieta" w nr 26 piórem K. Simonowa podjęła ocenę dotychczasowych osiągnięć i wytyczenie dalszych dróg. K. Simonow uważa, że temat bohaterstwa Armii Czerwonej nie został jeszcze wyczerpany. Ostatnie coraz bardziej jawne przygotowania wojenne zbrodniczego imperializmu podnoszą rolę Armii Czerwonej, jako ostoi światowego pokoju. Tematyka żołnierska w literaturze nabiera szczególnie gorącej aktualności. Chodzi o ukazanie wielkiego znaczenia tego faktu, że na straży pokoju stoi żołnierz radziecki.

Zwycięstwo Armii Czerwonej uwarunkowało ogromne historyczne przeobrażenia i stanowi gwarancję trwałości przemian w krajach demokracji ludowej, w Chinach i N. R. D. K. Simonow pisze: „Ze zwycięstwami, z bohaterskimi czynami dokonanymi przez ludzi radzieckich w czasie Wojny Ojczyźnianej, wiąże się cała teraźniejszość i cała przyszłość świata. Gdyby nie istniały te czyny i te zwycięstwa, inaczej wyglądałby teraz świat. Nie do pomyślenia byłoby istnienie krajów demokracji ludowej, niemożliwe byłyby wielkie zwycięstwa chińskiej rewolucji, ani ten rozmach, jaki przybiera narodowo - wyzwoleńczy ruch w Azji".

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Zaspakajamy tę ciekawość

Spółdzielnia produkcyjna w Lasotkach złożyła do Prezydium WRN prośbę o udzielenie kredytów na budowę mieszkań. Dlaczego Lasotki liczą na kredyty? I to na mieszkania? Bo Lasotki — jak wykazuje bilans z r. 1951 — są **solidnym kredytoodbiorcą.** Dlatego zasługują na pożyczkę.

Któż to przed wojną zasługiwał w bankach na zaufanie? Któż to był tym solidnym kredytoodbiorcą? Z reguły obszarnik i kułak! A jeśli nawet na zaufanie nie zasługiwała jego gospodarka, miał hipoteczne pokrycie, a to dla banków stanowiło argument rozstrzygający...

Chłopi rozumieją, że teraz nie hipoteka, ale dobre, rozwojowe gospodarzenie stanowi podstawę dla kredytów. I popatrzcie, na dużą pożyczkę, na śmiały zamysł pozwoliła sobie dziś dawna kupa biedaków. W Lasotkach wybudowano już kilka domków, zaczynając nie od pana prezesa, ale od najbardziej potrzebujących...

Albo taka spółdzielnia w Żelaznym Moście, założona w lutym 1950 r. Nadziwić się dość nie można, jak ten zespół dźwigał z wojennych zniszczeń swoją „fabrykę chleba". Zabudowania folwarczne i pałac stały w ruinach (50 proc. zniszczeń). Były dwie koncepcje — ruiny skazać na zupełną zagładę i oparłszy się na kredytach razem i równocześnie stawiać stajnie, obory i produkcję a kulturę na długo zawiesić na kołku... Tę koncepcję zespół odrzucił. Wszystko na inwestycję produkcji a na budownictwo nasze ręce, nasze umiejętności, nasz gospodarczy sposób. W ciągu 2 lat dali spółdzielcy 1563 dniówki na „remonty", jak skromnie nazwali swój śmiały zamysł odbudowy folwarku i pałacu. I co powiecie? Odbudowali stajnię, obory, świniarnię i stodoły. Samego bydła stoi dziś w oborze 33 krowy, 16 cieląt i jeden buhaj.

W 1951 r. wdarli się na parter pałacu i przywrócili mu dawną świetność. I-sze piętro zaplanowali na r. 1952. Warunkiem wykonania miały być sukcesy w produkcji. Czyli, że bitwę o zwycięski rok na polach i w hodowli poprowadzili pod hasłem wdarcia się w kulturę. To pierwsze bowiem piętro oznaczało: własne przedszkole, świetlicę i żłobek.

Albo taka spółdzielnia w Boryszewie, gdzie stary 65-letni Żaglewski może kształcić trzy córki, jedną w szkole średniej, dwie na wyższych uczelniach, a chorą żonę leczyć w uzdrowisku na bezpłatnej kuracji. Tak zespół pomaga starym, tak oręduje za nimi wobec władz ludowych.

Wincenty Pawelec

O czym opowiadał mi brat

Mój brat ma kolegę nie w naszej wsi. I ten kolega napisał do „Rolnika", że nasz GRN nie troszczy się o budowę szkoły w jego wsi, Korzeniu. Na to nasza Rada wysłała zapytanie kto to jest ten, co ich tak osmarował, a podpisał się tylko, jako „Ogon". Wtedy kolega mojego brata znowu napisał: jak to dopytywanie się o nazwisko należy rozumieć? Czy GRN chce na nim wywrzeć presję? Teraz prezydium GRN ogłosiło duży artykuł, który mi brat dał do przeczytania. Bardzo mi się ten artykuł spodobał w drugiej części, którą tu przepisuję:

„Jeżeli korespondent jest mieszkańcem gromady Korzeń i tak się troszczy o budowę szkoły w Korzeniu, to bardzo żałujemy (znaczy się Rada Gminna żałuje), że nie był on na Sesji Wyjazdowej GRN, która się odbyła w Liceum Rachunkowości Rolnej w Korzeniu. Na tej Sesji omawiana była właśnie budowa szkoły w Korzeniu. A nadmienić musimy, że obywatele Korzenia mieszkają prawie na progu naszego miasta, w którym mamy zaszczyt rezydować, szkoła więc nie była im tak pilna. Również nadmienić musimy, dlaczego jesteśmy pewni, że „Ogon" nie był na naszej Wyjazdowej Sesji. Mianowicie: chociaż mieszkańcy gromady Korzeń wrastają prawie w nasze miasto, są jednak tak fanatyczni i dziko zacofani, że mimo wylepionych afiszów, które powiadamiały o naszej Wyjazdowej Sesji, ani jeden mieszkaniec tej gromady nie raczył być obecny na Sesji, nie wyłączając sołtysa. Jakże więc mógł być „Ogon"?Jeżeli zaś Prezydium prosiło o podanie nazwiska autora notatki, zamieszczonej w numerze 84, to miało na uwadze fakt niezwykły, że „Ogon" jest jedyną osobą, która interesuje się budową szkoły w Korzeniu. Prezydium dlatego więc pytało o nazwisko korespondenta, bo chętnie chciałoby mieć „Ogon" w aktywie gminnym przy realizowaniu budowy szkoły w Korzeniu".

Mój brat na zakończenie tak mi powiedział: widzisz hultaju, jak wysoko może zajechać ten, co dba o szkołę?

Jakub Kędziorek

A to przyjaciółka...

(List do redakcji)

Bardzo jestem zmartwiona tym, co mnie spotkało. U nas jest taki zwyczaj, że jak się odbywa wesele, ludzie idą wieczorem popatrzeć. I ja poszłam na ostatnie w naszej wsi wesele. Poszłam śmiało, bo panna młoda była nie tak dawno na weselu mojej siostry, też tak... popatrzeć. A muszę jeszcze nadmienić, że wesele mojej siostry odbywało się w domu, a jej — w publicznej sali.

Otóż kiedy przyszłam i ledwo się rozejrzałam, a już mnie przed publicznością wyproszono. Czy byłam słusznie wyproszona? Bo czuję się **bardzo obrażona.**

Ale panna młoda też miała tego dnia despekt i to w kościele. Moja najserdeczniejsza przyjaciółka obrzuciła ją podczas ślubu zgniłymi jajkami. Moja przyjaciółka od dawna już mieszka w innej wsi, spory od nas kawał. A przyszła do naszej wsi w dzień ślubu dlatego, że ten co się żenił, był dawniej jej narzeczonym. Mieli się pobrać. Ale kiedy przyszło na świat dziecko on przestał do niej chodzić i zapoznał się z dziewczyną z naszej wioski. A jest ona nawet o kilka lat od niego starsza. Tak się z talentem wokół niego zakręciła, że ślub, choć z jajkami, ale się odbył. I nie pomogły nawet listy mojej przyjaciółki, która ją zaklinała na pamięć urodzonego dziecka, aby dała spokój jej chłopcu.

Jak się tak nad tym wszystkim zastanowię, to widzę, że dobry numer jest z tej, co wyszła teraz za mąż. I chyba dlatego, że jestem przyjaciółką jej konkurentki, kazała mnie z wesela, z publicznej sali wyprosić. Ciągle wracam myślami do tego dnia ślubu i wciąż mi nie daje spokoju ta piekąca obraza. I nie wcześniej się uspokoję, póki się nie wyżalę chociaż w liście do mojej najserdeczniejszej przyjaciółki, tej co to ma dziecko.

Cecylia Pasternak

Kontraktacja i... przodownicy

Jeżeli od złożenia podpisu na liście kontraktacji owsa i lnu wstrzymał się chłop małorolny, wyróżniony w jesiennej akcji Dyplomem Uznania — to znaczy, że mamy do czynienia z poważniejszym wydarzeniem.

Przenieśmy się w okolice górskie, do powiatu Kłodzko, do wsi Pstrążna. Tam mieszka Nowak Władysław, odznaczony Dyplomem Uznania. Ma 4 ha ziemi. Jest przodownikiem kontraktacji trzody chlewnej. Oddał sam 3 sztuki w ub. roku, kiedy więksi gospodarze sprzedali państwu o wiele mniej, koniem i wozem robi w polu u małorolnych chłopów w ramach sąsiedzkiej pomocy.

Dlaczego nie złożył jeszcze podpisu na liście kontraktacji owsa i lnu? Słyszał przez radio, że nie należy zmuszać do kontraktacji roślin, że trzeba w takich wypadkach, kiedy nie ma gospodarstwo warunków na należyte wywiązanie się z uprawy, dopomóc mu i stworzyć te warunki. Mechaniczne tylko narzucanie kontraktów byłoby szkodnictwem, łamiącym plany produkcyjne państwa, i sianiem rozgoryczenia wśród chłopów.

Czy w Pstrążnej owies i len są roślinami nieznanymi? Nie. Kontraktuje się je rok rocznie. W tym roku plan podniesiono. Czy przeciwko temu występuje Nowak? Nie. Przeciwko mechanicznemu rozłożeniu planu kontraktacji przez GRN. Na jego 4 ha wypadło z „dekretu" Rady Gminnej 20 ar jęczmienia i 10 ar lnu. Po „zarządzeniu" wybuchły skargi. Pod ich naciskiem niektórym chłopom GRN obniżył len do 5 ar. albo dodał jęczmienia. Protestowały kobiety, których w rodzinach było po dwoje paroletnich dzieci.

Nowak ma troje (— 10 miesięcy — 2 i 4 lata). Żona w ub. roku dostała ischiasu. Przepisanych zastrzyków w pobliskiej Kudowie otrzymać nie mogła. Kiedy jesienią musiała len wyrywać, „płakała rzewnie", bo nie mogąc się schylać, na kolanach rwała i tylko przez godzinę na dzień, na dłużej nie pozwalały wracające bóle.

Czy ma rację Nowak, prosząc dotychczas bezskutecznie GRN o obniżenie lnu do 5 ar, a powiększenie na to miejsce zasiewu owsa lub też o zasadzenie (z jego własnego nasienia) wysokokwalifikowanych kartofli? Na to pytanie chcielibyśmy otrzymać odpowiedź GRN-u. I nie tylko na to pytanie.

Ciekawi nas, jaką to rolę przeznaczył GRN w akcji siewnej chłopom **przodownikom,** odznaczonym dyplomami, nagrodami i krzyżami? Wydaje się, że posadził ich za piecem. A my sądzimy, że należało z nich zorganizować komitet doradczy przy rozkładzie planu kontraktacji. Że należało by ich pchnąć w bitwę wiosenną, jako agitatorów i organizatorów pierwszej linii frontu siewnego.

Jan Kurzołęka

WINCENTY JĘDRKIEWICZ

BALLADA O DZIEWCZYNIE

„Jechali młodzianie po górze,
Spotkali dziewczynę jak róża.
Dziewczyna jedyna — kochanie,
Wnet do ładnych chłopców
przystanie..."

(Pieśń ludowa z Sieradzkiego)

W ludowej piosence nie było nic o tym,
Co działo się we wsi, zwanej Czarne Błota.

Stoi tam wielka góra ze szczerego żwiru,
A złe, surowe wichry gryzły ją i biły.

Niedaleko bystra Warta toczyła swe wody
I wzdychała nad góry niedobrą urodą:

„Roztopią cię deszcze, burze i zamiecie,
Rozniosą cię wichry po szerokim świecie!"

Po co taka góra? Nie przyda się na nic,
Jej żwir ciąży sercom bardziej, niźli granit.

Urodzajne pola w ugory zamienia,
Niszczą złote ziarna drobniutkie kamienie.

Z trudem człapią ludzie po błotnistych drogach
I patrzą na górę z niepokojem, z trwogą.

Żwir i troski góra po polach rozsiewa.
Jest jak chmura: żałosna pada z niej ulewa.

Jechali po górze sieradzcy młodzianie:
„Tutaj nasza nowa żwirownia powstanie!

Bierzmy za łopaty! Żywiej tam i prędzej!
Kto z nas więcej żwiru z góry wydobędzie?"

I załadowali wagoników siedem:
Z produkcją betonu mniej już będzie biedy.

I załadowali wagoników osiem:
Zarobi się trochę potrzebnego grosza.

I załadowali wagoników dziesięć:
Cyfra wydobycia coraz wyżej pnie się.

Pracowali młodzianie z zapałem na górze,
Przyjechała do nich dziewczyna jak róża.

Popatrzyła na chłopaków spod rzęs jak jaskółki,
Uśmiechnęła się wesoło: „Robimy do spółki!

Jestem nowym inżynierem, wy robotnikami,
Sprawimy, by o złej górze zaginęła pamięć!"

Długa jest droga w przyszłość wsi, zwanej Czarne Błota,
Lecz marsz już się rozpoczął, zaczęła się robota.

Jak było? Jechali młodzianie po górze
I przyjechała do nich dziewczyna jak róża.

Dziewczyna nie jedyna. Takich jest coraz więcej!
Szanujmy trud ich, myśli i ofiarne ręce!

WINCENTY JĘDRKIEWICZ

STANISŁAW CIEŚLAK

Nasze rozmowy

Kłaniamy się Radom Narodowym

Co słychać z kontraktacją roślin?

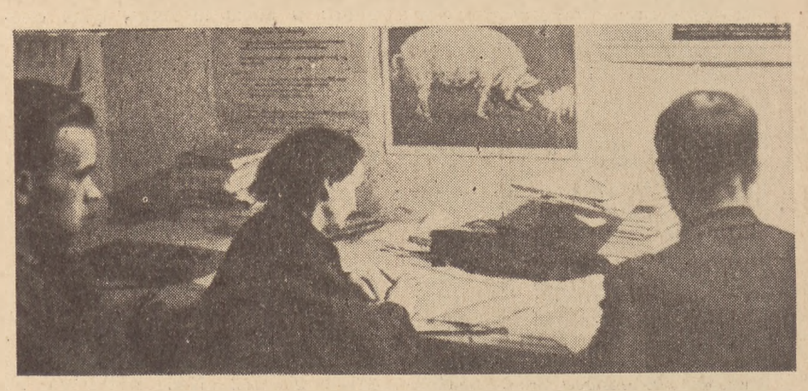

KONTRAKTACJA roślin—to jedno z najważniejszych dziś ogniw w całokształcie planowego oddziaływania na rolnictwo. Jak wielka to pod tym względem politycznym i gospodarczym sprawa, dowodzić chyba nie trzeba, wystarczy przypomnieć kilka liczb: w kontraktacji roślin bierze udział przeszło dwa miliony gospodarstw chłopskich, obszar kontraktowanych upraw obejmie w r. 1952 ok. 15 proc. całego obszaru zasiewów wiosennych, a dochody z nich stanowić będą co najmniej 40 proc. dochodów wsi z całej produkcji roślinnej!

Wydawało by się, że tak ważna sprawa powinna zajmować ogromnie wiele miejsca w wypowiedziach korespondentów terenowych, zachęcać do wnikliwej analizy ekonomistów, budzić wielkie zainteresowanie pisarzy. A tymczasem tak nie jest.

A ileż tu ciekawych, pasjonujących problemów. Weźmy np. sprawę rozdzielników obszaru kontraktacji na powiaty, gminy, gromady. Obyć się bez nich, rzecz jasna, przy planowej gospodarce nie można, nie można tak ważną sprawę rzucić tylko w kraj, licząc na spontaniczne, żywiołowe jej załatwienie. Ale ileż ciekawych rzeczy mogliby na ten temat powiedzić sołtysi, działacze gminnych i powiatowych Rad Narodowych. O wiele mniej dociera bowiem do nas przykładów dobrego rozwiązania tego problemu, niż przykładów złego, mechanicznego biurokratycznego załatwienia tej sprawy. Bo np. w gromadzie Wereszyn, pow. Hrubieszów, gdzie chłopi posiadają w ogóle 239 ha ziemi ornej, zadania kontraktacyjne GRN ustaliła na 315 ha, w Odrzykoniu pow. Krosno, gdzie rolnicy zaproponowali sami zwiększenie obszarów kontraktowanego lnu, „czynniki kontraktujące" nie chciały się na to zgodzić, mówiąc: „to obsiejcie bez kontraktów więcej, bo w ten sposób wykonamy plan kontraktów w gminie i powiecie z nadwyżką", w pow. Legnica wyznaczano rolnikom zadania kontraktacyjne administracyjnie, doręczając im po prostu na piśmie za pośrednictwem sołtysów zawiadomienie o wyznaczonym obszarze uprawy.

A jak sobie poradzić z brakiem w wielu terenach wiejskich siły roboczej? Czy tak jak zrobił Niedzielin Z GRN w Rużnicy pow. Sokółka, który zlecił Stanisławowi Kiedzie zakontraktować 10 arów gryki, 10 arów grochu, 10 arów lnu, „a ja — pisze Kieda — na groch i na grykę zgodziłem się, gdyż to wymaga mniej pracy, a na len to się zgodzić nie mogłem, gdyż nie mam siły roboczej, bo gospodaruję na 6,5 ha z matką lat 59 i z siostrą, która jeszcze chodzi do szkoły. Więc ob. Niedzielin wzywał mnie kilkakrotnie i groził grzywną i codziennym meldowaniem się w gminie". Kieda nie ma siły roboczej, a jak to się stało, że 79-letni ob. Wagner ze wsi Steblów, pow. Koźle pracujący z dorosłym synem na 4,8 ha w o wiele trudniejszych (bo bez budynków) warunkach, dał sobie z tym radę, bo jak sam pisze: „jestem zamiłowanym plantatorem roślin przemysłowych, takich jak buraki cukrowe, rzepak, len, cykoria itp. i daję sobie z tym wszystkim łatwo radę".

A sprawa zaopatrzenia? W zeszłym roku np. Pietrzak Franciszek ze wsi Topołowo, pow. sochaczewski zakontraktował 20 arów buraka cukrowego, 10 arów rzepaku i 50 arów jęczmienia. Ponieważ kontraktował z roznymi instytucjami, to i od różnych instytucji i w różnych terminach odbierał przydział nawozów sztucznych i nasion. W rezultacie stracił na to, jeżdżąc kilkakrotnie do spółdzielni gminnej oddalonej o 5 klm., przeszło tydzień czasu. Jak tedy w roku bieżącym sochaczewski CUSiK w porozumieniu z PZGS i GS zamierza zorganizować zaopatrzenie kontraktujących w środki produkcji?

A sprawa upowszechnienia wyników i doświadczeń produkcyjnych tych już dzisiaj tysięcy przodujących plantatorów, takich jak np. ob. Ekman Jan ze wsi Porzysk Wielki w woj. koszalińskim, który wyprodukował 54 q z 1 ha lnu, czy ob. Szymański z gminy Sarbiewo, pow. Płońsk, który nie tylko sam osiągnął 620 q buraków cukrowych z ha, ale swoim przykładem pociągnął do walki o wysokie plony całą miejscową grupę plantatorów buraka cukrowego?

A sprawa rozliczeń finansowych z przemysłem dokonywana za pośrednictwem Gminnych Kas Spółdzielczych, sprawa niesłychanej wagi, bo wciągająca przeszło 2 miliony chłopów do planu finansowego państwa, jak ta sprawa została (dobrze czy źle) zorganizowana w różnych częściach naszego kraju, bo i tu również nie brak skarg np. na roszarnie w Lubartowie czy w Białej Podlaskiej, że nie wywiązywały się w latach ubiegłych punktualnie ze swych zobowiązań przemysłowych.

Pytań takich ciśnie się pod pióro mnóstwo, pytań mniej lub więcej szczegółowych. Odpowiedź na takie pytanie z terenu gromady, gminy, powiatu pozwoliłaby nie tylko na usprawnienie całej akcji kontraktacji w kraju, ale jednocześnie przyniosłaby z pewnością moc pomysłów i wniosków racjonalizatorskich, które tak licznie padają na zebraniach gromadzkich i naradach produkcyjnych poświęconych sprawie kontraktacji.

Specjalnej wagi nabiera problem kontraktacji, zwłaszcza tak pracochłonnych roślin jak burak cukrowy, len czy tytoń na tle rysujących się już coraz wyraźniej lokalnych deficytów siły roboczej, zarówno w drobnych ale nawet i średnich gospodarstwach chłopskich. Zmieniła się bowiem dziś radykalnie struktura zawodowa ludności wiejskiej i struktura rolna kraju.

Jeśli bowiem przed wojną (wg spisu ludności z 1931 roku) przypadało na 1000 ludności wiejskiej: 2 obszarników, 119 robotników rolnych w gosp. obszarniczych i kułackich, 144 mieszkańców na gosp. do 2 ha, 265 mieszkańców na gosp. od 2 do 5 ha, 189 mieszkańców na gosp. od 5 do 10 ha, 48 — na gosp. od 10 do 14 ha, i 30 — na gosp. ponad 14 ha, oraz 203 robotników przemysłowych, pracowników umysłowych itp. — to Narodowy Spis Powszechny z roku 1950 wykazał: rob. rolnych w gospodarstwach prywatnych — 19, ludności w gospodarstwach do 2 ha — 76, w gosp. od 2 do 5 ha — 204, w gosp. od 5 do 10 ha — 268, w gospodarstwach od 10 do 14 ha — 75, w gospodarstwach ponad 14 ha — 40, 15 członków spółdzielni produkcyjnych, 34 robotników rolnych w PGR-ach oraz 269 — zatrudnionych wyłącznie w zawodach pozarolniczych. Ponieważ nie tylko „zaludnienie", ale i struktura gospodarstw rolnych uległa w Polsce Ludowej zasadniczej zmianie inna już dziś jest i sytuacja odnośnie siły roboczej. „Zaludnienie" bowiem gospodarstw do 2 ha spadło z ok. 230 ludzi na 100 ha na ok. 120, w gospodarstwach od 2 do 5 ha z ok. 220 na 80, w roku 1950 i t. p. A przecież w roku 1951 i w roku 1952 nasz szybko rozwijający się przemysł pochłonął już, albo pochłonie jeszcze kilkaset tysięcy rąk roboczych ze wsi.

Dlatego też sprawa kontraktacji musi być już w tym roku przez terenowe Rady Narodowe ustawiana w ścisłym związku z bilansem siły roboczej gminy, powiatu, województwa. Doświadczenia uzyskane w tym roku będą miały decydujące znaczenie dla dalszego rozszerzenia kontraktacji przewidzianej wytycznymi Planu 6-letniego, w myśl których od 60 do 80 proc. towarowej produkcji roślinnej naszego rolnictwa trafiać będzie na rynek za pośrednictwem kontraktów. I dlatego na ważność tej całej sprawy pragniemy zwrócić dziś uwagę naszych korespondentów i działaczy terenowych.

Stanisław Cieślak

WŁADYSŁAW UDALSKI

Ziemia opowiada

(Czytanka nie... szkolna)

ZGÓRĄ 60 lat upłynęło od czasu, kiedy to Bolesław Prus podsłuchał, jak ziemia uskarżała się Ślimakowi, że ją zaniedbuje i źle odżywia.

Czytelniku, kiedy będziesz przejeżdżał wiosną roku 1952 przez Bystrojowice w powiecie sandomierskim i droga wypadnie ci akurat przez pola Jana Olechnowskiego, usłyszysz również głosy wybiegające z pociętych kawałków i ujrzysz, jak miotają się rozpaczliwie w daremnym usiłowaniu połączenia się w jedną całość.

— Mnie się wyparł i przepisał na Katarzynę Suromiec — usłyszysz słaby szept jednej morgi.

— Nas podrzucił Józefie Suromiec — jęczą dwie morgi.

— A nas przydzielił Stanisławowi Kwakowi — wołają dalsze dwie.

— A nas oddał pod opiekę Edwarda Stąporowskiego — krzyczą dwa bliźniaki zza rowu.

— I nas — rozpaczają tamte siedem, przepisane na Mariannę Stąporowską.

Daremnie starasz się rozeznać, co się tu dzieje. Więc stań cierpliwie i posłuchaj, co ci opowie pocięta, nieszczęśliwa ziemia.

— Olechowski obliczał mnie na 20 morgów. Rodziłam mu dorodną pszenicę, buraki cukrowe i ziemniaki. Bo też gospodarz i obornika podrzucił i nawozem podsypał.

Po wojnie mój gospodarz został we wsi sołtysem. Dopieroż to zaczęła się zawiść! Myślałam, że sąsiadki mnie zeżrą. Olechnowski rósł w znaczenie, już do gminy chcieli go brać, a ja rodziłam, rodziłam i pysznilam się gruboziarnistą pszenicą. Mnożyły się sterty na polu, śpichlerz trzeszczał od ziarna, komory pęcznialy mąką i słoniną. Coraz więcej dostawało mi się nawozu. Dobrze jest — myślałam sobie — w Polsce Ludowej.

Ale sąsiednie zagony chude i wygłodzone nienawidziły mnie coraz bardziej.

— Twój gospodarz ograbia całą wieś z nawozu. Nocami ci podsypuje, żeby w dzień ludzi w oczy nie kolilo. A potem chwali się, że dobrze robi i rośnie mu. Ale i na niego przyjdzie kryska.

Czułam, że zanosi się na coś niedobrego. Bo i mój pan spoważniał na pewien czas, często zalatywało od niego wódką. Sąsiadki plotkowały, że będzie mnie sprzedawał po kawałku. Truchlałam.

Aż przyszło nieszczęście. Pamiętam tę straszną noc. Wracał skądsiś upity i zabłocony. W ręce trzymał niedopitą jeszcze butelkę wódki.

Stanął i zamachnął nią w kierunku, o — tamtych dwóch morgów i jakby je chrzcząc bełkotał — wy odtąd nazywacie się Józefa Suromiec. Następnie zwrócił się do tych dwóch nad miedzą — a was będą pisali na Kwaka Stanisława. Potem skierował twarz na wschód do tamtych pięciu i wyrzekł uroczyście: — A was oddaję pod opiekę Marianny Stąporowskiej.

Chciałam krzyczeć, ale wszystkie zagony zdrętwiały a on zaloczył się i krzycząc „kto pije, ten żyje" runął twarzą w moje zmartwiałe objęcia. Przez całą noc chłodną gliną wyciągałam z niego gorączkę. Rano wstał, otrzepał się i mruknąwszy „to tylko tak dla oka" — odszedł.

Zaczął się jakiś ten planowy skup zboża. Czekajcie — pomyślałam o moich rozżalonych sąsiadkach — zobaczymy, kto będzie pierwszy we wsi. Nie będziela się tak jeżyć.

Wkrótce odbyło się zebranie gromadzkie. Po zebraniu sąsiadka z lewa, ta trzyhektarowa Szczepana Kopcióła, jak nie wrzaśnie: — „Mój Szczepan sprzedał Państwu Ludowemu 8 metrów zboża".

A pięciohektarowa Bolesława Łukowskiego jej przywtarza: — „A mój Bolek oddał 14 metrów".

— A czy wiecie — odezwała się trzecia — że Olechnowski ledwo wydudlił 8 metrów, bo ziemię podzielił, żeby podatków i FOR-u nie płacić i zboża nie sprzedawać...?!

„Wstyd mnie oblał. — Gdzie jest te 60 metrów, które z taką troskliwością wyhodowałam?"

— „Gniją w dziurze" — warknęła Szczepanowa.

Krzyknęłam wtedy z bólu i poniżenia.

Tyle ziemia.

A co mówią ludzie? Marianna Florias, biedna wdowa, tak pisze do „Rolnika Polskiego". „Nasza gromada składała już podanie o zrzucenie Olechnowskiego z sołtysa, jeszcze w zeszłym roku do GRN i PRN, ale do tej pory nie ma żadnego rezultatu. Wszystko było dokładnie opisane i podpisane przez gromadę, ale sołtys wódką zalał i w porządku. Śmieje się z gromady — „pierona mi zrobiła" i dalej pije z kułakami. Umarza sobie podatki z tych drobnych działek, FOR-u nie płaci wcale, ma u siebie kosiarkę, którą obrabia całą okolicę i zarabia duże pieniądze. Za Polski Ludowej kupił już 5 mórg i wyśmiewa się z biedoty, że dziady nie umią się rządzić".

Wróg klasowy w Bystrojowicach jest jeszcze silny, skoro korespondentka tak list kończy: „Proszę tego w gazecie nie umieszczać i nazwisko zachować w tajemnicy, bo by mnie sołtys ze sforą kułaków powiesili, a mieszkam sama w polu, mieliby okazję".

Ale silniejszy jest głos prawdy publicznej. I ludzie i ziemia wystąpią do walki z wrogiem. Ludzie z Bystrojowic wzywa was ziemia i biedna wdowa!

Władysław Udalski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12. tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł: rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-12576